



ANTOLOGIA OPowiadań

BIZARRO dla początkujących

BARTOSZ CZARTORYSKI ALEKSANDRA ZIELINSKA ADRIAN ROSTAK
RAFAL KULETA KRZYSZTOF MACIEJEWSKI KRZYSZTOF T. DĄBRONSKI
KAZIMIERZ KARCZ JR. DAVID KAIN

ANTOLOGIA OPowiadań

BIZARRO dla początkujących

Bizarro dla początkujących:

Antologia opowiadań

wydanie II, 2012

Redakcja / Korekta

Marcin Kiszela

Skład i łamanie

Wojciech Jan Pawlik, www.pawlik.es *Projekt okładki*

Patryk Kuleta

ISBN: 978-83-272-3493-3

Copyright ©2011 by Bartosz Czartoryski Copyright ©2011 by Aleksandra Zielińska Copyright ©2011 by Adrian Miśtak

Copyright ©2011 by Rafał Kuleta

Copyright ©2011 by Krzysztof Maciejewski Copyright ©2011 by Krzysztof T. Dąbrowski Copyright ©2011 by Kazimierz Kyrz Jr Copyright ©2011 by Dawid Kain

11 PRZYKAZAŃ:

- 1) Nie będziesz miał Bogów cudzych przede Mną,
- 2) Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno,
- 3) Pamiętaj, abyś dzień święty święcił,
- 4) Czcij ojca twego i matkę swoją,
- 5) Nie zabijaj,
- 6) Nie cudzołóż,
- 7) Nie kradnij,
- 8) Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu,
- 9) Nie pożądaj żony bliźniego twego,
- 10) Ani żadnej rzeczy, która jego jest (nawet jeśli to antologia „Bizarro dla początkujących”)
- 11) Czytaj horrory!¹

¹ (a zwłaszcza bizarro)



Bartosz Czartoryski

Lokalizacja: Dolny Śląsk

Styl bizarro: mistrzowski brak stylu **Publikacje:** gdzie się da, głównie w Wordzie **Opis:** krytyk filmowy, tłumacz literacki, renesansowy człowiek orkiestra. Podobny zupełnie do nikogo **Wpływy:** nadal czeka na przelew

OTO DOM, BIM BAM BOM

Przezucie. Zazwyczaj przychodzi samo, nieproszone. Łapie za ramię i szarpie nami, aż nie opędzimy się od niego jak od nieznośnej, brzęczącej koło ucha muchy. Chwyta za żołądek i ściska go lepką dłonią.

Dzisiejszej nocy odwiedziło po cichutku Marysię, budząc ją ze snu delikatnym szarpnięciem. Lekki wietrzyk z uchylonego okna zmroził krople potu na jej karku. Usiadła na łóżku i opuściła stopy na podłogę. Drewno było zimne, w piecu już dawno wygasło. Dźwignęła się i rozpoczęła marsz ku drzwiom. Zaraz za nimi, naprzeciwko, śpią rodzice; opowie im więc o nocnym gościu. Chwyciła za klamkę i nacisnęła ją.

Gdy tylko przestąpiła próg, rozdzwonił się stojący w korytarzu telefon. Tata zawsze powtarzał, że jeśli aparat odzywa się w środku nocy, nie może to być nic dobrego, bo normalni ludzie o tej porze śpią. Po dwóch sygnałach pozostał milknący z wolna pogłos przeraźliwego dzwonka.

Tik-tak.

Tik-tak.

A cóż to znowu?

Marysia szybszym krokiem przebyła drogę do sypialni mamy i taty, i bez pukania weszła do środka.

Ale w pokoju nie było niczego.

Nie nikogo. Niczego.

Bo ktoś przecież był.

W pustym, otoczonym czterema ścianami pomieszczeniu stał kościsty mężczyzna, nieco podobny do zmarłego dziadka Marysi, którego знаła jedynie z fotografii.

Tik-tak.

Tik-tak.

Chudzielec powtarzał pod nosem swoją mantrę.

– Dziadku? – zapytała nieśmiało Marysia i dygnęła grzecznie, kiedy mężczyzna odwrócił głowę w jej stronę. – Gdzie mama i tata?

Tik-tak.

Tik-tak.

Odmierzane spierzchniętymi ustami sekundy mijały.

– Dlaczego tak robisz? Co ty mówisz?

Tik-tak.

I cisza.

Pan, który zamieszkał w sypialni rodziców, uniósł z niedowierzaniem brwi.

– Tik-tak. Przecież jestem zegarem.

– Zegarem? – roześmiała się Marysia. – Ale to śmieszne, dziadku!

– Ding dong. Już czas. Bim bam bom.

– Dziaku, przestań tak robić. – Dziewczynka śmiała się do rozpuku, a cały dom wtórował jej, trzęsąc się w posadach.

Wschodnia część budynku, jakby w odpowiedzi na harce Marysi, dźwignęła się nagle z posad i ociężale wyprężyła grzbiet.

Nie trzeba było długo czekać, aż w jej ślady poszła zachodnia, przeciągając się leniwie jak kot.

Marysia podeszła do okna, podekscytowana niesamowitością spektaklu. Nie posiadała się z radości, widząc, że jej dom – jej własny dom! – na ceglanych nogach podąża w stronę miasta, przechylając się raz na prawo, raz na lewo.

Zapominając zupełnie o Zegarze, nadal niestrudzenie odmierzającym kolejne sekundy, godziny i minuty, wpatrywała się w jaśniejące w mroku gwiazdy, ułożone w dziwaczny, pięcioramienny wzór i wyczekiwała spotkania z wysokimi blokami, budzącymi się z drzemki.

*

Budowlany gwałt trwał w najlepsze, lepka zaprawa tryskała na ceglane ściany domów, wielką płytę wieżowców i szklane cielska drapaczy chmur. Piwnice rozchyliły szeroko swoje fundamenty i ochoczo przyjmowały kolejnych gości. Wille pozrzucały dachówki w obłąkańczym, ekshibicjonistycznym akcie. Betonowe pazury orały papę mniejszych chatek, w powietrzu unosił się zapach azbestu i tynku, a cała okolica aż huczała od brzęku tłuczonych szyb. Okienne ramy przeżyły drewniane grzbiety. Jedynie plastiki topniały, palone żarem własnej namiętności.

Skoro lalki się bawią, ludzie się bawią, koty się bawią i psy też się bawią, to czemu domy miałyby się nie bawić?

Marysia zastanawiała się nad tym jedynie krótką chwilę, biegając od okna do okna w swoim własnym, biegnącym w stronę miasta, domu.

Szybko, szybciej, coraz szybciej, jeszcze szybciej!

Za chwilę uderzą w parterowy budynek kliniki dentystycznej!

Dom Marysi wyprężył dumnie ganek i z impetem wpadł w górne piętro prostokątnego kloca z cegły. Poruszając się miarowo w przód i w tył, to wpychał, to wyjmował składające się na ganek daszek i kilka schodków z otwartego okna kliniki.

Dziewczynka zrozumiała, że to koniec jej podróży. Czas zejść na dół i z

żabiej perspektywy podziwiać tę miejską rozpustę. Marysia nie znała oczywiście takiego słowa, ale gdyby znała, z pewnością by go użyła.

Rozpusta. Gwałt. Jebanie. Pieprzenie. Pierdolenie. Orgia. Oral. Anal. Cipa. Dupa. Cycki. Fiut. Kurwa. Chuj. Kutas. Sperma. Jaja.

Niektóre z nich słyszała, innych nie; niektóre rozumiała, innych nie, ale wszystkich nauczy się pilnie, jak każda mała dziew-czynka, która chce urosnąć i wreszcie stać się duża.

Ciekawska mała szła chodnikiem, ulicami, alejami i bocznymi drózkami. Domy, bloki, wieżowce i drapacze chmur nie zwracały na nią uwagi, ale czy ona zaszczyciłaby choćby spojrzeniem pełzającą u jej stóp glistę? Rozpierała ją radość, choć nie była do końca pewna, czego właściwie jest świadkiem.

Małe ludzki wyskakiwały z krzykiem z okien wysokich biurowców i roztrzaskiwały się o ziemię niczym skoczkowie nurkujący w pustym basenie.

Żadne osiedle nie dbało o swoich lokatorów: podłogi wyslizgiwały się spod stóp babcinych kapciuchów, sufity były po łbach nawet tych, którzy przycupnęli spokojnie w kąciakach swoich mieszkań, a ściany rzucały oszalałe kawałkami gipsu, tak jak wściekła żona, która przyłapała męża na zdradzie, ciska w niego talerzami.

Marysia zatrzymała się, ze zdumienia otwierając usta na widok swojej podstawówki, pogrążonej w kopulacyjnym uścisku z przedszkolem. Przybytki edukacyjne pierdoliły się tak zaciekle, aż brzęczały metalowe numerki zawieszane na haczykach szatni.

*

Marysia przechadzała się po pobojuwisku. Budynki leżały po-kotem, powoli zastygając w pokracznych pozach, by już nigdy nie zbudzić się z kamiennego snu.

Koniec świata.

Niczego już nie będzie.

Domy, jak to domy, były bezpłodne i nawet te, które jeszcze oddychały, nigdy nie zrodzą małych, parterowych szeregowców, ani nawet kawalerskich klitek.

Kolejni ludzie wygrzebywali się spod gruzów.

Mógł ich uratować już tylko kredyt mieszkaniowy.

WIEDZMA

Widował ją czasem, jak przechadzała się w tę i we w tę, od przybłokowych działek do osiedla.

Ona, wiedźma.

Tak wołali na nią koledzy z podwórka, tak wołał i on.

Wiedźma.

Stara, pomarszczona, opatulona szczelnie chustą, swoim żółwym tempem pełzła gdzieś rano i wieczorem.

Od niedawna, kiedy wstawało słońce, budził się niejako wbrew sobie, wiedząc, że właśnie teraz będzie przemierzała tę samą ścieżkę, co każdego dnia. Nawet gdy nie miał szkoły, wrywał go ze snu niewidzialny budzik, wmontowany gdzieś głęboko w głowie, nie dający się nakręcić ani przestawić. Zrezygnowany wstawał z łóżka, gramolił się z pościeli wiedząc, że zobaczy to samo, co każdego dnia.

Ona, wiedźma, podążająca w stronę działek.

Nie wiedział dlaczego nieistniejący „ktoś” potrząsał jego ramieniem tylko po to, by rzucił okiem pod uniesioną roletą. Potem kładł się spać, lecz po drugim przebudzeniu zawsze i tak pamiętał to pierwsze i jej przygarbioną sylwetkę znikającą za furtką.

Dziś, gdy otworzył oczy, poczuł się nieswojo, jakby coś mu zabrano.

Wstał z łóżka z poczuciem narastającej konsternacji.

Gdy jego stopy dotknęły puszystego dywanu, spojrzał na zegar ścienny z Supermanem, wskazujący dwadzieścia po dziewiątej.

Zerwał się na równe nogi z myślą, że spóźni się do szkoły. Wołając matkę, zaglądał do każdego pokoju, jednak nie znalazł nikogo. Jego malutkiej siostry również nie było ani w kojcu, ani w wózekczku.

Może wyszły na spacer?

Rzucił okiem na kuchenny stół w poszukiwaniu jakiejś karteczki lub śniadania, które matka zwykła dla niego zostawiać.

Czemu wychodząc, nie obudziła go? Przecież wiedziała, że musi iść do szkoły.

Zerknął na kalendarz – może zapomniał, że dziś wolne?

Wtorek.

Nie przypominał sobie, by pani mówiła coś o zwolnieniu z lekcji. Tak czy inaczej, ubierze się i wyjdzie z domu, przecież szkoła jest zaledwie kilka kroków stąd.

Naciągnął bluzę oraz spodnie. Zapakował książki i zeszyty do plecaka. Czuł się dziwnie, po raz pierwszy wychodząc bez śniadania, ale jeszcze bał się samemu sięgnąć po nóż; dopiero za tydzień miał skończyć osiem lat i mama obiecała, że wtedy nauczy go jak porządnie robić kanapki.

Zjął z wieszaka smycz z kluczami, wyszedł za próg i zatrzasnął drzwi wejściowe.

Niedawno widział ten straszny film, z klaunem.

Właściwie podpatrzył tylko minutę, gdy rodzice oglądali, a on szedł do łazienki, lecz to wystarczyło, by teraz za każdym razem zbiegał sprintem na odcinku parter – drzwi do klatki, bojąc się, że klaun z zębami jak szable pochwyci go i porwie.

Klauna jednak nie było.

Nikogo nie było.

Wyszedł z bramy w niemal namacalną ciszę.

Słońce stało już dziwnie wysoko na niebie, oświetlając zaparkowane samochody.

Mateuszowi zawirowało w głowie.

Jak we śnie szedł powoli w stronę parkingu, obracając się na wszystkie strony. Bloki zdawały się wyższe niż wczoraj, a dzień jaśniejszy niż wszystkie inne letnie dni zebrane razem i zamknięte do pudełka. Cisza atakowała jego uszy, zmieniając się w nieustający szum. Łzy spłynęły mu po policzkach i brodzie. Chciał krzyknąć, ale jednocześnie bał się zmącić perfekcyjny błogostan, w jakim znalazł się świat. Łkając, zdezorientowany pobiegł przed siebie, byle tylko szybciej znaleźć się w miejscu, które tak dobrze znał.

Szkoła.

Drobne kamyki, którymi wysypane było podwórko, chrzęściły mu pod trampkami.

Sprawdził zegarek.

Dziewiąta czterdzieści pięć.

Lekcja powinna zacząć się za pięć minut.

Popchnął drzwi i wszedł w pusty korytarz. Zazwyczaj woźna wybiegała ze swojej kanciapy i darła japę na każdego, kto wchodził spóźniony. Dziś

jednak Mateusza nie powitał ani znajomy krzyk starszej pani, ani odgłosy radości towarzyszące przerwie.

Nikogo nie było.

Trampki, w podszewkach których utkwiły co mniejsze kamyczki, stukały teraz jak obcasy pani od matematyki. Echo zanosilo ich rytmiczny stukot aż do odległych szafek, które odbijały i deformowały dźwięki.

Mateusz zatrzymał się, z głową pełną myśli, nie wiedząc, czy wszyscy zniknęli, czy tylko on się pojawił, nagle, tutaj, w świecie, w którym nikt nie mieszka.

Nowy pomysł dodał mu skrzydeł.

Wybiegł ze szkoły i skierował się do osiedlowego sklepiku, modląc się w duchu, by był otwarty. Po przebiegnięciu tych dwustu metrów dzielących szkołę od cukierków, batoników i lizaków, wbiegł do spożywczaka.

Nikogo.

Wepchnął do kieszeni kilka Marsów, a ze stojaka zgarnął paczkę Laysów. Nie było tak źle, jak to na początku wyglądało! Przed oczyma wyobraźni stanął Mateuszowi świat nieograniczonych możliwości, gdzie w sklepach, czekają na niego komputery z naj-nowszymi grami, a karuzele, kręcą się wyłącznie dla jego uciechy.

Wyszedł z przybytku, który był dlań niczym fabryka Williego Wonki, i zobaczył ją.

Wiedźmę.

Szła tym swoim powolnym krokiem, tak jak co dzień.

Mateusz pomyślał, że przecież się spóźniła. Zawsze, wyglądając przez okno, widział ją o siódmej. Teraz było już po dziesiątej.

Nikogo nie ma.

Nadal.

Tylko ona.

Wiedźma.

*

Jego rodzice nie mieli przybłokowej działki. Ojciec powtarzał zawsze, że to zemsta komunistów, którzy oprócz dziur w drogach i szarości wielkiej płyty zostawili pieprzone budki z desek, by oszpecić ten kraj jeszcze bardziej.

Tutaj też ani żywego ducha.

Mateusz, zerkając zza bloku, wahał się przed przekroczeniem niewidzialnej granicy. Nigdy nie bawił się za blokiem, wiedząc, że ona, wiedźma, akurat może wracać do domu. Nie wiedział co prawda gdzie mieszka, nigdy też nie był świadkiem jej powrotu, inaczej niż jego koledzy, ale przecież nie zostawała tam na zawsze, by kolejnego dnia materializować się znów na ścieżce.

Czarna postać majaczyła w odległości, którą Mateusz sobie umownie wyznaczył. Idąc jak cień (długi co prawda, w końcu południe się zbliżało) za wiedźmą, rozglądał się wokół.

Nikogo.

Na działki prowadziła pordzewiała furtka, którą nerwowo szarpnął, wzrokiem gorączkowo szukając wiedźmy, która zniknęła na moment.

A jednak jest!

Tam, skręca w jedną ze ścieżek!

Jej dziwaczne, jakby szmaciane ubranie zamiatało kurz z wy-deptanej dróżki.

Ogródkami chyba nikt od dawna się nie zajmował: dynie gniły w upale, truskawki przejrzały, a jabłka pomarszczyły się jak zgnieciony akordeon. Wydawało się, że wszystkie pory roku miały dostęp do działek, nie bacząc na kalendarz. Rosło i więdło wszystko, od nasturcji, przez przebiśniegi, do orchidei. Smród dyń mieszał się z mdłym zapachem róż i agrestu, a trawy wypluwały z siebie pyłki, drażniąc nos Mateusza.

Skręcił w ścieżkę, którą obrała sobie ona.

Wiedźma.

Słońce, odbite od kawałka leżącego w kurzu metalu, oślepiło chłopca na krótką chwilę, która jednak wystarczyła, by stracił orientację i poczucie rzeczywistości. Powidok uczeplił się wewnętrznej strony jego powiek. Po omacku szedł dalej, krok za krokiem.

Intensywnie mrugał, chcąc pozbyć się denerwującego pieczenia.

Gdy otworzył oczy, nie widział już działek.

Znajdował się w krystalicznie czystej bieli, która powoli nasiąkała bajkowymi kolorami. Ręka widmowego artysty niewidzialnym pędzlem nanosiła czerwień, zieleń, błękit – z każdym „ruchem” domalowywał się samoistnie kolejny element krajobrazu.

Mateusz patrzył jak urzeczony, gdy jego oczom ukazała się chatka z piernika, na kurzej nóżce. Baśnie dzieciństwa stały się jawą. Jak na

skrzydłach chłopiec podbiegł do schodków, susem przesadził stopnie i wbiegł, nie zatrzymując się, do domku.

A wewnątrz!

Ileż wspaniałości!

Sklepienie osiedlowy nie mógł się równać z zapachem cynamonu dobiegającym zewsząd, z czekoladowymi meblami i miodem płynącym rzeką wzdłuż korytarza!

Kuchnia!

Przecież to stamtąd wszystko pochodzi, przecież to tam wszystkie mamusie pieką i gotują, przecież to tam znajdzie Mateusz wspaniałości, o których się nie śniło Jasiowi i Małgosi!

(O jakich okropnościach wobec tego śnili?) Kuchnia.

Tam wreszcie ktoś był.

Oparta o stół, zaraz obok pieca.

Ona.

Wiedźma.

Tak jak jej dom, wyjęta z obrazka – powłóczyste szaty zakrywające próchno jej starego ciała, paznokcie – nie paznokcie, szpony! – wyrastające wprost z powyginanych paluchów. Brodawka na haczykowatym nosie, zepsute zęby.

Jak spod jej rąk mogły wyjść te pyszności?

Mateusz się zawahał. Przecież to była ona, wiedźma.

Jeść, czy nie jeść – oto jest pytanie.

Gdy piec otwarł się, czekając na przyjęcie pierwszego dziś gościa, szpony wpiły się w ciało, ręce szarpnęły chłopcem, a haczykowaty nochal z ekscytacją wciągnął smród palonej skóry, włosów, mięsa i kości.



Aleksandra Zielińska

Lokalizacja: Podkarpacie

Styl bizarro: absurd, groteska, horror **Publikacje:** Magazyn Fantastyczny, Fahrenheit, antologie: „City 1”, „Trupojad”, „Pokój do wynajęcia”, „Kochali się, że strach”, „Nawiedziny”, okładka i ilustracje: „stany zmysłowe” Izy Smolarek.

Opis: studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, swego czasu uczennica Szkoły Rysunku i Malarstwa w Krakowie, recenzentka *Grabarza Polskiego*, miłośniczka kotów i dobrego kina, w wolnych chwilach gra na gitarze, wbrew pozorom dziewczyna, jakiej nie chciałbyś przedstawić rodzicom.

Wpływy: Stephen King, Truman Capote, John Updike, Andrzej Sapkowski, Łukasz Orbitowski, Jacek Dukaj, Marcin Świetlicki, Jacek Kaczmarski i wielu, wielu innych, szeroko pojęta muzyka alternatywna i takowe kino.

Ojczenasz, któryś jest w niebie

Było nas w więzieniu siedmioro.

Nie za dużo, nie za mało, w sam raz na celę tak ciasną, że ledwie L dało się oddychać. Tak czy inaczej, cały czas trzeba było pilnować się na każdym kroku, żeby nie nadeprnąć na odcisk jakiemuś zbrodniarzowi z żądzą mordy zamiast mózgu. Reszta nieprzyjemności A była na porządku dziennym, nikogo nie dziwiły już wiecznie wilgotne ściany albo szczury na pryczach. Chyba tylko one miały w tym miejscu pełne żołądki. *All exclusive*, chciałoby się rzec.

W rogu spiskowali sekciarze z Wyznawców; interesowało ich tylko jedno – ucieczka. Plan powstawał już od kilku miesięcy, ale wymagał pomocy z zewnątrz, co nie było tak proste jak obmyślanie strategii. Żałowałam czasem tych fanatyków, bo byli LI chyba jedynymi członkami Wyznawców, więc interwencja grupy ratunkowej stawała się coraz mniej realna. Na co dzień nieszkodliwi, przynajmniej nie rzucali mi jajkami w aptekę, za to że ośmielałam się sprzedawać prezerwatywy.

Ktoś zajęczał w głębi celi: Baltazar – za rozbój wiszący głową w dół już od paru tygodni. O ile dobrze słyszałam, było kilka ofiar, głównie płci żeńskiej. Dziwne, nie? Tym bardziej że dwa miesiące wcześniej Baltazara oślepieno za napad z bronią w rękę.

Ledwie się załapał na tę karę, cóż, więźniów po siedemdziesiątce już się nie torturuje, zbyt duże ryzyko zgonu. Chociaż siedzenie w tej celi można by podciągnąć pod maltretowanie, bo czubek głowy oskalpowany przez szczury był porównywalny do kości połamanych kołem.

Kocham Kraków, kocham krakowski wymiar sprawiedliwości.

To tyle, jeśli chodzi o więźniów. Ja się nie wypowiadam, nie mam już nic do powiedzenia. Nawet moje zalotne spojrzenie, rude włosy, z których jestem tak dumna, nie działają na stróżów prawa – wszyscy oczekujemy na egzekucję. Sekciarze pewnie pójdą na stos zaraz po mnie, ponoć nie umieli poszanować władzy.

Trzeba być synem Szefa, jak niejaki Krystian, by takie bzdety uszły ci na sucho. Baltazar miał szansę na krzesło elektryczne, ale przegrał apelację w tej sprawie. Zatem stos i fajerwerki, nie będzie szybko, prosto i pod napięciem.

Chwała bogom, że nie łapałam się na śmierć w paszczy Smoka Wawelskiego. Dziewice wyginęły już dawno, pewnie tego gada też to czeka.

– Otwieram obrady zarządu Wyznawców w sprawie planowanej ucieczki – zaintonował Staszek, sekretarz i sekretarka w jednym. – Posiedzenie numer czterysta sześćdziesiąt osiem!

Sekciarze zafalowali w jakiejś modlitwie, po poprzednich czterystu sześćdziesięciu siedmiu dalej za cholerę nie wiedziałam, jakie bóstwo czczą. Może to i lepiej, bo nadmiar obeznania z tą kretyńską wiarą mógłby skutkować obłędem.

– Pragnę złożyć wniosek. – Wyznawca Jan podniósł rękę.

– Notuj, Staszek. Wniosek o pozwolenie na egzekucję, połączoną z dotkliwymi torturami na wszystkich strażnikach więzienia oraz kucharzu, który bez przerwy podaje cuchnące śledzie.

Tak się składało, że już dwie ściany i podłoga były pokryte pokracczym pismem Staszka (o ile naprawdę umiał pisać). Będę wdzięczna temu, który pierwszy podłoży ogień pod stos.

– Jeszcze głosowanie! Kto jest za przyjęciem wniosku?

– Miało być tajnie!

– Dobra, skoncentrujcie się tylko na odpowiedzi, nasz Pan usłyszy. Kto jest za przyjęciem wniosku? Skupcie się! Dobrze, wystarczy. Módlmy się, albowiem Pan zna już nasze plany! Módlmy się o pomoc!

Sekciarze znów zajęczeli jakąś pieśń, a mnie powoli zaczął trafiać szlag. Szkoda, że w celi nie ma okien, mogłabym przynajmniej rzucić okiem na panoramę Wzgórza Wawelskiego, która rozciąga się wokół wieży więziennej. Albo rzucić się sama, w dół na bruk i spokój w głowie, żadnych bóstw, żadnego więzienia i ognia. Mniej by bolało.

Nagle trzasnęły wszystkie zamki w drzwiach, a było ich sporo.

Od świata odgradzały nas drewniane wrota ze stalowymi okuciami, jakby w celi zamiast bandy kretynów leżał jakiś pieprzony skarb.

Do środka wpadł strażnik.

– Robin, zbieraj się na przesłuchanie – rzucił niedbale w moją stronę, zamiatając kosmatym ogonem po posadzce. Stado gównianych much wzbiło się w powietrze.

Gdybym była doświadczonym przestępcą, ucieczka mogłaby się udać właśnie teraz, w czasie drogi do pokoju przesłuchań.

Wąskie, ciemne korytarze, gdzie można ukryć się za każdym rogiem, tylko ja i... No właśnie, strażnik, którego wzięłam na początku odsiadki za sfilcowany płaszcz z nutrii. Zamiast kajdan wybrał efekt psychologiczny: ostrze włóczni nieustannie drażniło moje plecy. Wszystkie strategie ucieczki nagle uleciały z głowy.

– Szybciej!

Jeszcze nigdy nie byłam przesłuchiwana, toteż wystrój pokoju mnie zadziwił. Ciekawe, jak szefostwo zdołało utrzymać to miejsce w tak idealnej czystości: białe ściany, białe krzesła, biały stół, biała podłoga, naznaczona ubłoconymi butami strażnika. Wcale nie miałam wyrzutów sumienia, zostawiając podobne ślady.

Niech żyje psychologia, wszystko tu mówiło: „twoje grzechy nad śnieg wybieleją, więc gadaj i to szybko”.

Na krześle siedział Benicio.

– Zaczekam za drzwiami, panie. – Strażnik tak giął się w ukłonach, że mało nie przytrzasnął sobie ogona drzwiami.

– Napijesz się kawy, Robin? – zapytał uprzejmie, gdy zostaliśmy sami.

Zamiast napoju wybrałam papierosa z paczki niedbale rzuconej na stół.

Benicio podał mi ogień. Och, Benicio, Benicio, zna cię cała nasza kochana dzielnica, może i miasto. Jesteś jak ten idealny szeryf ze starych westernów. Tylko gdzie twoja odznaka, błędny rycerzu? Co, może ukradli ją złodzieje z Hali Targowej, gdy rozdawałeś im sterylne igły?

Benicio miał bardzo smutne oczy. Wszyscy w okolicy nazywali go Tatuńciem, choć dopiero co przekroczył czterdziestkę.

Zapewne po hiszpańskich przodkach dostała mu się czarna czupryna i zamiłowanie do papierosów. Cholera wie, co przygnało go na nasze zadupie z tej całej Hiszpanii. Prawdę mówiąc, wolałam nie wiedzieć.

– Jak samopoczucie?

Wzniosłam oczy ku niebu.

– Cudownie, panie Benicio. Oprócz tego, że wpakowano mnie do celi z grupą nawiedzonych sekciarzy i przetrzymano tam dwa dni bez słowa wyjaśnienia, po prostu cudownie. Nie może być lepiej.

– Cięń sarkazmu w twoim głosie wskazuje na niezadowolenie.

Ba, irytację nawet. Nie o to chodzi, droga Robin. Chcę tylko porozmawiać.

– To lustro jest weneckie? – wskazałam na zwierciadło, ciągnące się przez całą długość ściany.

Benicio zaśmiał się głośno, chyba jemu też przypomniała się knajpa w okolicach Rynku, gdzie coś podobnego zainstalowano w toalecie. Przeróżające przeżycia murowane.

– Nie, ono tylko sprawia wrażenie weneckiego. Wiesz, efekt psychologiczny. Działa na więźniów, którzy nie chcą współpracować.

– Ten wasz strażnik z dzidą bije wszystkie te efekty na głowę.

Zatem powiedział mi pan, panie władzo, prawdę o lustrze sądząc, że jednak będę więźniem, który współpracować zechce i to z radością. W zamian za to zaufanie mam się odwdziaczyć czymś podobnym, tak?

– Jaka pani przenikliwa.

– Jak promieniowanie.

Benicio uśmiechnął się smutno, jak miał to w zwyczaju. Bogowie, jakim cudem taka ciepła klucha trzyma całe zło tego tej dzielnicy w szachu? Cudem, no właśnie, już widzę jak Krystian maczał w tym palce, albo te swoje pierdolone stygmaty.

– Niech pani opowie o Ojczenaszu.

Zatkało mnie, normalnie wgięło w krzesło. Niby wszyscy wiedzą, do kogo należy moja apteka, ale po cholere to policji? Trafiłam tu przecież z innego powodu, a sprawa szefa nie powinna być w ogóle wspomniana.

– Nic nie wiem na ten temat, tylko u niego pracuję, zresztą jak każdy farmaceuta w tym mieście – nawet mi powieka nie drgnęła przy kłamstwie. – Dlaczego tu jestem? Na pewno nie z powodu sprzedawania syropu na kaszel studentom.

– Jest pani pewna, że tylko u niego pracuje?

Jezu, albo Krystianie, nie zdzierzę.

– Oczywiście, że jestem pewna, że u niego pracuję. W innym razie po co przychodziłabym codziennie do jego apteki? Żeby postać za ladą? Spontanicznie? Nie wiem nic na temat spraw szefa.

Ja tylko wydaję leki, kręcę maści, robię czopki. No, kasę fiskalną też umiem obsługiwać. Poza tym zakłóciłam porządek publiczny, więc co to ma wspólnego z pracą?

Benicio wyłamał palce.

Papierosowy dym kłuł w oczy.

– Możesz mi opowiedzieć o dniu, w którym cię aresztowaliśmy, Robin?

*

Rynek pękał od ludzi. Może dlatego, że był dzień targowy, może dlatego, że zaraz miały zapłonąć stosy. Naokoło piętrzyły się stra-gany ze wszystkim, czego dusza zapragnie, panował gwar i ruch, jak zawsze, ale wszystko to skupiało się wokół pomnika Adasia.

Obok obsranego przez gołębie wieszczą narodowego stanął szafot.

– Ciociu Ro! – Mały Tomek pociągnął mnie w stronę stoiska z wata cukrową. – Obiecałaś słodycze, obiecałaś!

Cóż, dzieciom się nie odmawia, toteż po chwili Tomek trzymał w dłoni patyczek z wata i uśmiechał się szeroko. Natychmiast zanotował w pamięci, że trzeba go będzie zabrać do dentysty na przegląd. Jestem tak wytresowana w troszczeniu się o tego dzieciaka, że ilość słodyczy przeliczam na plomby i ból przy borowaniu. Duży chłopak, duży Tomek. To imię przyniesie więcej szkody niż pożytku. Tomasz – co z tego za ksywka dla dzieciaka w świecie, gdzie niegdyś rządziło prawo i Ameryka, a dziś – pięść i wolna amerykanka.

Może kiedyś dorobi się chociaż dobrego przydomku, na przykład Tom Kyrie Elejson, czy coś w ten deseń, jak tatuś.

O wilku mowa – Ojczenasz zmaterializował się obok mnie znikąd. Kiedyś zapytałam, skąd wzięło się jego przezwisko. Na mój widok lepiej zmówić paciorek, powiedział. I miał rację. Przez policzek biegła głęboka blizna, pamiątka po jednym z wielu zamachów, chwała Bogu – nieudany. Tyle tylko, że jednym końcem zahaczając o kącik ust, wiecznie wykrzywiała je w grymasie gniewu. W gruncie rzeczy szło się przyzwyczaić, tylko szklane oko działało czasem na nerwy. Szczególnie gdy lubiło wypadać z oczodołu. Albo Ojczenasz turlał ci je prosto pod nogi.

– Cześć, Robin. Cześć, Tomek!

Chłopiec zniknął w wielkich ramionach ojca. Całe miasto sądziło, że Tomek należy do liczego nieślubnego potomstwa aptekarek Ojczenasza. On sam traktował wszystkie te dzieci tak samo i wołał nikogo nie uświadamiać. Zbyt wielu ludzi nie przepadało za właścicielem dochodowych aptek, by czyhać na życie jego syna.

– Jak zdrowie? – zagałam, gdy zaczęliśmy spacer po Rynku.

Ludzie jakoś sami schodzili nam z drogi. Lokalny mim zrobił przerażoną minę, aż dzieciaki czmychnęły w stronę Sukiennic.

I dobrze, dzieci i gołębie powinno się utylizować. – Dawno się nie widzieliśmy, minęły ze trzy tygodnie od twojego wypadku.

– Miałem szczęście, że skrytobójcy zadrżała ręka. – Ojczenasz się uśmiechał, ale mnie kłuła w oczy blizna po ostatnim zamachu.

Chwała bogom, że można ją przykryć włosami. – Mam sprawę do załatwienia z nowym dostawcą towaru.

– A propos, był u mnie nekromanta z Woli Duchackiej z nietypowym zleceniem. Wiesz, ten co lubi rzucać zombie między kiboli.

– Zombie obwiązane szalikami przeciwnej drużyny?

– Ano. Dostaniesz dla niego trochę mandragory u tego nowego kontrahenta?

– Spróbuję, Ro. Po co to Heńkowi? Mało mu żywych trupów w ogrodzie? Chce zostać jednym z nich? – Śmiech Ojczenasza mroził krew w żyłach. – Zabierz dzieciaka na lody czy co, ja muszę załatwić sprawy służbowe.

– To na pewno dobry pomysł? Nie chcę, żeby widział stopy. Ani wachał śwad spalonych zwłok. Nawet mnie mdli na samą myśl.

– Ogień podłożą w samo południe, zdążycie.

– Dobra, niech będzie. Kogo dziś palą?

Ojczenasz dał chłopcu parę złotych na następną watę. Wizyta u dentysty zbliżała się wielkimi krokami.

– Nie patrz tak, Ro. Wiem, że go rozpieszczę, ale nie widzieliśmy się prawie od miesiąca. Sam go umówię na przegląd... Kto płonie? Jakiś sekciarz i miejscowa wiedźma.

– Robiła u nas zakupy?

– Tak.

Oblał mnie pot. Zaopatrywanie czarnoksiężników, tak jak i samo czarnoksiężstwo, było nielegalne. Jeszcze tego brakowało, żeby jakaś torturowana klientka wyszczebiotała policji o pochodzeniu ingrediencji.

– Jesteśmy bezpieczni?

– Bez obaw, zadbałem o to. – Ojczenasz uśmiechał się pogodnie do syna, biegnącego z watą w dłoni.

*

– Cześć, Robin!

Odwróciłam się szybko i ujrzałam niewysoką dziewczynę o piekielnie

rudych włosach, przeciskającą się przez tłum.

– Ciocia Kaśka! – Tomek uśmiechał się od ucha do ucha. Ma chłopak szczęście, spotyka ciocie na każdej ulicy, kobiety Ojczenasza są wszędzie. Niech tylko podrośnie, a będzie wiedział, jaki zrobić z tego użytek.

– O ile się nie myłę, pracujesz w Prokocimiu, Kaśka. A to dosyć daleko, ba – krakowskie koło podbiegunowe.

– Spacer, Ro, spacer. Nawet nie wiesz, ile szczęścia daje rozprostowanie kości po paru godzinach stania za ladą. Tomek, jak ty wyglądasz? Cały się lepisz, słońko.

Chociaż Kaśka wzrostem przewyższała chłopca tylko o głowę, w mieście bardzo ją poważano. W końcu to od jej widzimisię zależało, czy jakaś wiedźma dostanie specjalny towar spod lady.

– Mogę się pobawić przy fontannie, ciociu?

– A lody?

– Ciociu...

– Możesz, możesz. Chodź, Ro, siądziemy sobie na ławeczce i zajmiemy się małą konwersacją na poziomie.

Po chwili siedziałyśmy już w cieniu Mickiewicza, skąd Tomek w fontannie był znakomicie widoczny. Wrzucał do wody monety, które dostał od ojca. Jezu, dzieciak wierzył w magiczne fontanny w mieście, gdzie byle wiedźma jest w stanie uwarzyć eliksir na potencję i rządy światem.

– Ojczenasz wrócił – wypaliłam.

– Super! – Kaśka wyciągnęła się na ławce; rzeczywiście wyglądała na zmęczoną. – Tylko za bardzo tego nie rozgłaszaj po okolicy, bo im dłużej go nie ma, tym szybciej rosną ceny. Od dwóch tygodni przyłazi do mnie Heniek z Woli po kopyta jednorożca.

– U mnie był po mandragorę.

– Ech, szalony. Więc mu mówię, że sprzedam, jak wróci szef, a on bez przerwy przyłazi i podbija cenę, bo tylko ja mogę dostać te przeklęte kopyta. Co za życie, cud–miód, nie, Ro?

– Jasne, Kaśka, miódzio. Ciekawe, czy złapią tego skrytobójcę.

– Słyszałam, że chodziło o jakieś porachunki na rynku. Dlaczego? Przecież jesteśmy tylko siecią aptek.

– Biorąc pod uwagę towar spod lady, to nie tylko, Kaśka, nie tylko.

Paru policjantów przygotowywało stosy. Po chwili obok słupów piętrzyły się suche gałęzie, a jakiś klecha święcił wszystko dookoła, mrużąc

modlitwę. Boję się lokalnych chrześcijan, są gorsi od pogan. Tamci tylko palą koty i tańczą na golasa wokół pomnika Adasia, żadnego polowania na czarownice.

– Czy to nie ironia, Ro? W piętnastym wieku paliliśmy za czary, w dwudziestym pierwszym robimy to samo.

– Ludzie zawsze wracają do wypróbowanych sposobów. Bez względu na humanitaryzm.

– Gaz byłby mniej bolesny.

– Ale i mniej widowiskowy. Zaraz musimy spadać, zaczyna się.

– Zapali się dopiero za jakąś godzinę, żeby ludziska mogli obrzucić skazanych zgniłymi pomidorami.

I urokami rzecz jasna – katole byli w tym dobrzy. Już zaczęli się zbierać naokoło. W nozdrzach zakręcił się zapach zepsutych owoców. I się zaczęło, cholera jasna.

– Zaraz, zaraz! – nagle zmaterializowała się nade mną znajoma wierząca. Szlag, nawet nie chce mi się na ten temat mówić, niech wystarczy, że różaniec kołysał się jej między piersiami, od szyi do ziemi. – Czy to nie ta plugawa dziwka ze świątyni aborcyjnej?

– Oesu...

– Co?! Nie waż się wzywać imienia pana boga twego nadaremno, grzeszna niewiasto, która...

– No ale o co pani chodzi? – Kaśka wstała gwałtownie. Widziałam, jak żyłka na jej czole zaczyna pulsować, zły znak.

– O sprawiedliwość!

Nagle zaczęłyśmy przyciągać większą uwagę niż skazani, wprowadzani na szafot. Lokalne kółko różańcowe podchwyciło temat, użerałam się z nimi bez przerwy. Średnio raz w miesiącu koczowali mi pod apteką, wymachując zdjęciami abortowanych płodów.

– A jeśli ten zlepek komórek, który chcecie uratować, okaże się pedałem, to co? Potem spalicie na stosie? Lepiej od razu spuścić w klozecie, do kurwy nędzy, kobieta szczęśliwsza i lżejsza. O parę kilo nawet, jeśli to bliźniaki!

– Kaśka...

Od regularnej bójki uratował nas Krystian.

– Weź się odpiardol, idioto! – wrzeszczał właściciel stoiska z pieczywem; tłum natychmiast zgromadził się w tamtym rejonie. – Po Wiśle się przespaceruj, cudaku zaszary, a chleb zostaw w spokoju!

Nie chleb, a kajzerkę. Krystian ukradł jedną, rozsiadł się na Rynku i tylko mu dwóch ryb brakowało. Odrywał kawałki bułki i rozdawał naokoło. Oczywiście dla wszystkich starczyło, a interes piekarza poszedł się jebać. Spuchnięty od wodogłównia łeb cudotwórcy aż kiwał się ze śmiechu.

– Wczoraj stanął mi pod apteką i uzdrawiał klientów, po kolei; ani grosza nie zarobiłam. Pierdolić go, chodź pooglądamy przedstawienie.

Na szafot wprowadzono młodego chłopaka i dziewczynę, która ledwie trzymała się na nogach. Na tyśej głowie zakrzepła krew z głębokiej rany.

– Możesz zaobserwować różne style pracy naszych policjantów.

Zobacz, ten sekciarz wygląda na zdrowego, fizycznie oczywiście, lekko obszarpany, ale to norma. A wiedźma? Chyba ktoś pomylił ją z workiem treningowym. Chłopaka złapał Tatuńcio, dziewczynę Helena.

No tak, Benicio obchodził się z więźniami jak z jajkiem, a Helena, szeryf całego miasta, znany był ze staroświeckich, brutalnych metod pod hasłem: ogniem i mieczem.

– Wpadli przez narkotyki, ponoć oboje kupowali u tego samego dealera. Wiesz, sekciarzom są potrzebne wspomagacze do medytowania.

Zacisnęłam usta. W dzisiejszym czasach pracując legalnie miało się małe szanse na godziwe życie, więc byłam w stanie tolerować wszystko w imię przetrwania. Wszystko, prócz narkotyków. Te, które mogli wyprodukować czarownicy z podziemia mogły ci rozjechać psychikę na płask.

– Dragi to bagno.

– Pewnie, bagno jak stąd do stolicy.

Obok nas pod więzem grupka mężczyzn rozprawiała o czymś namiętnie.

– Musimy go uratować! Od tego zależy liczebność naszej organizacji. Zatem – bracia i ty, Staszku – wnoszę o rozpatrzenie planu akcji ratowniczej brata Dawida...

– Notować?

– Tak. Treść wniosku: my, grupa...

– Nie! Najpierw należy przeprowadzić stosowną ankietę.

– On ma rację, Stachu. Wydaje mi się, że ankietę jest niezbędna w celu poznania opinii społeczeństwa.

– Dobra, bracia. Dziękujemy Panu za nasz organizacyjny geniusz!

– Dziękujemy Panu!

– Staszek i ja zrobimy ankietę, a reszta wprowadza plan akcji ratowniczej w życie!

Cóż, wariaci są tak powszechni jak komary, toteż razem z Kaśką zbojkotowałyśmy grupę dziwadł na rzecz ostatnich chwil spokoju.

Nagle dwa typy zasłoniły nam Adasia. Ich ubrania wyglądały, jakby ukradziono je z czasów pierwszych chrześcijan, gdy bezpłciowe togi były hitem sezonu.

– Panie wybaczą, że przeszkadzamy w wypoczynku – wypalił ten z silnym brytyjskim akcentem i lekko wystającymi zębami.

– Jesteśmy przedstawicielami pewnej grupy wyznaniowej. Interesuje nas jedna kwestia.

– Tak, czy chcą panie wziąć udział w ankiecie pacyfistycznej? Spojrzałyśmy na siebie, z trudem tłumiąc chichot.

– O co chodzi?

– Otóż zbieramy podpisy w sprawie zniesienia kary śmierci 28 przez palenie na stosach członków naszej grupy wyznaniowej.

Czy zechcą panie złożyć swój podpis?

– Czemu nie? – Kaśka, chichocząc diabolicznie, podpisała się jako królowa Wiktoria, a ja jako caryca Katarzyna.

– Dziękujemy wam... ee... caryco i królowo. Właśnie przyczyniłyście się do uwolnienia jednego z szanowanych członków naszej ekipy, brata Dawida.

Sekciarz wskazał dłonią stos.

Myślałam, że zemdleję. Bogowie, myślałam, że się przewrócę z wrażenia. Kaśka czuła się chyba podobnie, bo zastygła jak słup soli.

– Tomek! – wrzasnęłam z przerażeniem.

Paru sekciarzy przywiązywało małego Tomka do stosu tuż obok zbrodniarza.

– Proszę zachować spokój. Skoro mamy uratować brata Dawida, ktoś inny musi zająć jego miejsce. Nie można zaburzać równowagi w przyrodzie! Zresztą, męczenników nigdy za wiele. Bóg rozpozna swoich.

– Chwała Panu! – Wyznawcy zafalowali.

Tłum wokół stosów zaczął gęstnieć, gdzieś rozległy się nawoływania policjantów. Jednak ja nie dostrzegałam niczego. Pędziłam najszybciej jak umiałam. Tłum gęstniał i gęstniał, ale jakimś cudem udało mi się dotrzeć do szafotu.

Sekciarze obstąpili stos. Falowali z dziką pieśnią na ustach. Tomek płakał.

Skoczyłam między Wyznawców. Łokciami utorowałam sobie drogę do chłopca. Nie wiem, jakim cudem w mojej dłoni znalazł się nóż. Pusta

pochwa, wyszarpięta z cholewy buta, upadła w tłum.

Na widok broni sekciarze trochę spuścili z tonu. Zaczęłam przecinać więzy Tomka.

– Ciociu Ro!

– ZBAWCZYNI! – wrzasnął Dawid. – Niech Pan cię błogosławi, grzeszna niewiasto, albowiem przyczyniłaś się do uwolnienia...

– Zamknij się – warknęłam. Liny były grube, a policja coraz bliżej.

– Jak ci na imię, pani?

Więzy Tomka opadły. Jeden z sekciarzy wyrwał mi nóż i oswobodził Dawida.

– W porządku, kochanie? Dobrze się czujesz, Tomek?

– Ciociu Robin...

– Robin! Co za wdzięczne imię dla zbawczyni, szlachetnej jak sam Robin Hood. Pamiętaj, mogę ci pomóc, gdy będziesz w potrzebie. Niech Pan cię błogosławi.

Nie słyszałam ostatnich słów, bo razem z Tomkiem rzuciliśmy się w tłum. Sekciarze również rozbiegli się we wszystkie strony.

Policja była coraz bliżej, a ja nie wiedziałam, czy uciekać, czy nie.

Jedno było pewne: prędzej przyłączę się Wyznawców niż oddam w łapy Heleny.

Wiedźma z ogoloną głową została sama na szafocie. Widziałam jej twarz, wykrzywioną przerażeniem; widziałam, jak otwiera usta, ale zamiast krzyku spływa z nich strumień krwi.

Bez obaw, zadbałem o to.

Biegając, wołałam myśleć, że to Helena, a nie Ojczenasz wyrwał dziewczynie język.

Z trudem udało nam się wydostać z macek tłuszczy. W końcu, pod wpływem krzyków policjantów, ludzie zaczęli blokować nam przejście. Chwała bogom za pustą, ciemną uliczkę.

Chwała bogom, że czekała tam Kaśka.

– Boże, straciłam go z oczu tylko na moment! Ojczenasz mnie zabije...

– Cicho, Kaśka, zabierz Tomka do siebie. Ja się gdzieś ukryję.

– Ciociu Ro?

– Bogowie...

– Trzymaj się, Kaśka. Do zobaczenia, Tomek!

*

– Robin? Możesz opowiedzieć o dniu, w którym cię aresztowano?

– Nie.

Benicio westchnął. Kopałam papierosa, za oknem hulał wiatr.

– Wzięłaś udział w uwolnieniu groźnego przestępcy prosto ze stosu – patrzył na mnie tymi swoimi hiszpańskimi oczętami.

– Przyznajesz się?

Więc koniec z dobrymi manierami? Koniec z panią Robin? Tylko nie wspomnij o Tomku, Ro, ani słowa o chłopcu. Jeszcze tego brakowało, żeby rozeszło się po mieście, czyim jest synem.

– Na szafocie był jakiś chłopiec.

Ledwie powstrzymałam się od przekleństwa.

– Sierota, sekciarze mieli zamiar spalić go razem z Dawidem.

Chciałam tylko pomóc, jestem niewinna. Na resztę pytań odpowiem tylko w obecności mojego adwokata.

– A masz adwokata?

Zacisnęłam usta.

– Słuchaj, Robin, puścimy w niepamięć twój udział w ucieczce przestępcy, zapomnimy nawet o tym tajemniczym chłopcu.

Wyjdiesz stąd w zamian za jedną informację. Gdzie ukrywa się Ojczenasz?

Parsknęłam śmiechem.

– Po cholere wam to?

*

W mojej aptece panowała ciemność. Dwie dziewczyny, które tu sprzedawały, już dawno poszły do domów. Może to i lepiej, bo cisza była mi bardzo potrzebna. Nie wiedziałam, gdzie – i czy – uciekać przed policją, więc nogi same poniosły mnie ku mojej ostoi.

Nie byłam w magazynie sama.

Nóż został w łapach sekciarzy, innej broni nie miałam. Zewsząd dobiegały szelesty, gdzieś kot rozpoczął jęczącą serenadę.

Nagle poczułam uderzenie w głowę. Potem była ciemność.

*

– Ro, żyjesz?

Otworzyłam najpierw jedno oko, a dopiero potem drugie. Potylicą ćmiła straszliwym bólem, tyłek bolał od upadku.

– Ro, w porządku? – zapytał Ojczenasz, pochylając się nade mną. – Myślałem, że cię zabiłem.

– Mało brakowało. Co ty tu robisz?

– Ten cholerny nowy kontrahent okazał się zdrajcą. Wziąłem cię za jego sługusów, przepraszam. Musiałem wiać.

– No to tak jak ja.

– Co z Tomkiem?

– Jest u Kaśki, bezpieczny. Za to mnie ściga policja.

– Co?! Jeszcze tego brakowało, żeby nas dopadli!

– To był wypadek, Ojczenasz, przepraszam. Uciekałam, bo bałam się, że porwą Tomka.

– Widzę, że to skomplikowana historia, potem mi opowiesz.

Jak sądzisz, mogą tu przyjść?

– Nie wiem, w mieście jest setka dziewczyn wyglądających jak ja.

– Racja, ale w razie czego masz na stanie coś kompromitującego?

– Nie, wczoraj zeszły ostatnie rogi jednorożca. W magazynie jest wyposażenie zwykłej apteki.

– Dobra, w takim razie muszę się ulotnić na jakiś czas, dopóki nie skończę tej sprawy z dzisiejszą zdradą.

– Gdzie będziesz?

– Pojadę chyba do Lasku Wolskiego. Zajmij się interesem, twoje zniknięcie równałoby się przyznaniu do winy. Jeśli cię złapią, nie przyznawaj się do niczego. A co ty właściwie zrobiłaś?

Uśmiechnęłam się tak niewinnie jak umiałam.

– Nic takiego.

– Ucałuj Tomka ode mnie.

*

Benicio nie odrywał ode mnie wzroku.

– Gdyby nie sekciarze, nie dotarlibyśmy do twojej apteki. Innych kobiet

Ojczenasza nie dało się przesłuchać bez podstaw.

Wyznawcy zanieśli ci podziękowania od ich guru. Wystarczyło tylko dobrze ich śledzić.

Wypuściłam z ust kłęb dymu.

– Czemuż to ich zamknąłeś, Benicio? Przecież to przykładni obywatele.

– Skąd ten jad w twoim głosie, Robin? Przy Ojczenaszu sekciarze to aniołki.

– Co on wam takiego zrobił?

Odkąd pamiętam, Ojczenasz był dla mnie dobry. W dzisiejszych czasach kobiecie trudno zdobyć wykształcenie, a co dopiero pracę. A on zawsze wybierał kobiety, chyba czuł się lepiej w naszym towarzystwie

– Możesz nie wiedzieć, czym Ojczenasz zajmował się po godzinach, ale wydaje mi się to raczej mało realne.

– Dość tych tajemnic! Ojczenasz to tylko aptekarz, przyznaję, czasami sprzedaje coś okolicznym wiedźmom, ale to wszystko!

Benicio patrzył tylko i wzdychał. W jego oczach widziałam politowanie.

– Tomasz Rzeźny, z niewiadomych powodów nazywany Ojczenaszem, od trzech lat kieruje całym podziemiem narkotykowym w mieście. To szara eminencja czarnego rynku.

Zachciało mi się śmiać. Śmiać i płakać jednocześnie.

– To nieprawda.

– W dniu twojego aresztowania udało nam się zaaranżować spotkanie z nim. Agent podał się za nowego dealera, który chce wejść na rynek pod protekcją Ojczenasza.

Nowy kontrahent. Papieros wypadł mi z dłoni. Nagle stałam się obojętna: na wielkookiego Benicio, na wiedźmę, której wy-rwano język. I na Ojczenasza. Ojczenasza, za którym skoczyłabym w ogień.

Nie zrobiłby tego. Nie umiałby zabijać tych młodych ludzi ze strzykawkami w rękę.

– Zdajesz sobie sprawę z sytuacji, Robin. Powiedz nam, gdzie on jest.

– Nie.

– Chcesz pozwolić, by wciągał w to bagno kolejnych młodych ludzi.

Milczenie.

– Robin. Ro.

– Pieprz się.

Benicio westchnął.

– I tak dostaniemy te informacje – powiedział, wstając.

Po chwili zostałam w pokoju przesłuchań sama. Jednak nie dane mi było przemyśleć wszystkiego, bo drzwi otwały się z hukiem.

Do pokoju wszedł Helena z brzytwą w ręku. Ksywę nadano mu z ironii. Był diabłem w ludzkiej skórze modela o idealnym wyglądzie.

*

Benicio oparł się o balustradę balkonu, skąd rozciągał się widok na cały Rynek. W dole przelewały się tłumy mieszkańców (w końcu to dzień targowy, zaraz rozpalą stosy), pogoda była prawdziwie wiosenna.

Zapalił nowego papierosa.

Nagle usłyszał krzyk, pełen strachu i bólu. Potem z pokoju przesłuchań zaczęło dochodzić ciche szlochanie. Policjant dopalił papierosa. Pet spadł z balkonu prosto w tłum.

Krzyk wciąż brzęczał w uszach. Całe szczęście, że tylko jeden.

*

Gdy zostałam z Benicio w pokoju przesłuchań sama, miałam ochotę mu przylać, rozkwasić tę smutną gębę, wyłupić hiszpańskie oczęta. Nie dałam rady, nie chciałam nawet spojrzeć na podłogę, która usiana była włosami.

Jedynie ból podbitego oka i upokorzenie z powodu ogolonej głowy. Brzytwa Heleny przed oczami.

– Robin, wykonujemy tylko swoje obowiązki – Jednak ten cały Benicio nie był taki kryształowy, jak mówiono. Widocznie w każdym drzemie zwierzę. – Będiesz współpracować?

– Jestem tylko sprzedawczynią – wybuchłam płaczem, nerwowo skubiąc kosmyk włosów w dłoniach. – Stoję za ladą i nic więcej. Zostaw mnie w spokoju. Mało ci upokorzeń, mało ci bólu?!

– Jedno twoje słowo i jesteś wolna.

Po policzkach spływały mi łzy. Cholera jasna, żadnym Rambo to ja nie jestem.

– Ma osiem lat, prawda? Śliczny chłopiec. To twój syn? Ciekawe, w której aptece go ukryłaś.

– Ty draniu! – rzuciłam się na Benicio, gotowa wydrapać te smutne oczęta.

Był silny, był silny jak smok.

Po chwili znów siedziałam na krześle. Obcięte włosy falowały w powietrzu.

– Ro?

– Na cmentarzu! – wrzasnęłam. – Ojczenasz ukrył się na cmentarzu! Idźcie, parszywe psy, i ryjcie ziemię! Znajdziecie Ojczenasza w mauzoleum!

W jednej chwili znalazł się przy drzwiach.

– Sprawdźmy to. Jeśli kłamiesz, spłoniesz; jeśli mówisz prawdę, będziesz wolna. I nie martw się o chłopca, nie będziemy go szukać. Blefowałem.

*

Myliłam się co do liczby Wyznawców.

Gdy po przesłuchaniu, wciśnięta w kąt celi, patrzyłam bez celu przed siebie, coś nagle wywalilo kraty z okien. Do więzienia wpadło kilkunastu zakapturzonych mężczyzn. Natychmiast ustawili się w okręgu, gotowi do walki.

– Jesteśmy elitarnym zespołem ratowniczym z sześcioma herbowymi w rodzinie. Wprowadzamy w życie plan akcji uwolnienia czołowych przedstawicieli naszej grupy wyznaniowej!

Staszek, Jan i reszta sekciarzy zafalowała w modlitwie i zaczęła ścisnąć się z współwyznawcami.

Jeszcze mocniej wcisnęłam się w kąt.

– Chwała Panu!

– Misja wykonana. Mamy jednak coś ważnego do zrobienia.

Brat Dawid poprosił o uwolnienie niejakiego Robina w zamian za uratowanie życia. Czy jest tu taki?

Ukryłam się mroku. Moi znajomi sekciarze byli zbyt zajęci dziękowaniem Panu za wolność, by zareagować.

– To ja! – wrzasnął Baltazar, wiszący głową w dół. – To ja jestem Robin!

*

Strażnik powiedział, że mam gości. Mogłam ich przyjąć w celi, bo poprzedniej nocy wszyscy inni więźniowie uciekli. Ostatnie chwile, zanim pójde na stos za oszukanie policji.

Na mój widok Kaśka krzyknęła.

– Ro! Co oni ci zrobili? – Przyjaciółka mocno mnie przytuliła.

Nie dziwiłam się jej reakcji; łysa i posiniaczona nie sprawiała za dobrego wrażenia. – Ro, jak się czujesz?

– Tak jak wyglądam. Jutro i tak idę na stos. Za narkotyki. Wiedziałaś, że Ojczenasz siedzi w tym po uszy?

– To ty nic nie wiesz? Dziś była u mnie policja. Rzeczywiście, powiedzieli mi, że Ojczenasz opiekuje się dealerami w mieście.

– Po co byli u ciebie?

– Ojczenasz nie żyje.

– Co?!

Kaśka spróbowała się uśmiechnąć, z marnym skutkiem.

– Tej nocy gdy uciekał, odwiedził Tomka w mojej aptece.

Zdecydował, że zamiast w Lasku ukryje się na Rakowicach. Bał się, że torturami zmuszą cię do gadania, więc zmienił kryjówkę w ostatniej chwili.

Nie skomentowałam.

– Wykorzystał stare schronienie na cmentarzu, w mauzoleum.

Nie wiadomo, jakim cudem trafiła tam policja. Zginął przy próbie ucieczki. Co z tobą, Ro? Ro!

Nogi się pode mną ugięły.

– Ro, jesteś wolna.

Nie odezwałam się.

Zobojętniałam.



Adrian Miśtak

We wszystkich dokumentach i papierzyskach urzędowych figuruje jako Adrian Miśtak. Mieszka w małym miasteczku na południu Polski, z czego jest niezwykle zadowolony. Żony nie posiada, dzieci najprawdopodobniej też, z perspektywami na przyszłość. Cieleśnie nietykalny, czasowo nieosiągalny, finansowo niewypłacalny, dobrego alkoholu i dobrej literatury nie odmawia.

Horrorem interesuje się odkąd był na tyle świadomy, żeby interesować się czymkolwiek. Debiutował opowiadaniem „Worek” w zbiorze pt. „Pokój do wynajęcia”, współpracował z magazynem *Czachopismo*, portalem internetowym *Horrormania.pl*, prowadził bloga, ale zapomniał hasła.

Wierzy, że jeszcze nieraz o nim usłyszycie.

Zjedz mnie!

Sekundy dzieliły go od zwymiotowania całego porannego posiłku na śnieżnobiały obrus, którym nakrył stół. „Słodki Jezu!” przeszło mu przez myśl, gdy spazmatycznym ruchem zerwał się z krzesła, ręką zatykając usta w obawie przed ewentualnym wystrzałem salwy kwasów żołądkowych i niestrawionych resztek pokarmu, mogących wkrótce zalać jego wspaniałą, grafitową koszulę i wszystko w zasięgu wzroku. Chwiejnym krokiem dobił do okna, wsparł się o ścianę i począł łapczywie wdychać świeże powietrze, wolne od unoszącego się nad stołem zapachu pokarmów. Jeden, drugi, trzeci głęboki, desperacki oddech i żołądek powoli wracał do normy. Ryzyko siarczystego, niepohamowanego rzygania mijało z każdą sekundą i Jakub poczuł wyraźną ulgę – poniekąd wynikającą z samego faktu, że jego jelita nie zostaną przefiltrowane. Z drugiej zaś strony opcja sprzątnięcia całego bajzlu wydała mu się wielce nieprzyjemna.

Gdy raz jeszcze kawałki spożytego śniadania podskoczyły mu do gardła w geście protestu przeciwko potwornemu smakowi w ustach, powstałemu na skutek ugryzienia feralnego jajka, Kuba zerknął przez okno, na jasne promienie słońca, leniwie prześlizgujące się między budzącymi się do życia drzewami.

Zmusił się do myślenia o świeżym, zimnym powietrzu i po chwili strajk żywności został całkowicie opanowany. Niemniej dla pewności odsłonił firankę, posuwistym ruchem ręki uchylił lekko okiennicę i wpuścił do środka trochę orzeźwiającego, kwietniowego powietrza. Poranek wielkanocny rozpoczął się nader nieprzyjemnie.

Kuchenny zegar, zawieszony gdzieś nad rzędem staromodnych, jasnych szafek, cykał niespiesznie, wskazując kwadrans po dziewiątej rano. Jakub łypnął na niego spode łba, odganiając resztki wspomnień o tym, co przed chwilą ugryzł. Ledwie czterdzieści minut temu był w kościele, w dłoni dzierżąc wiklinowy koszyczek, wypełniony przeróżnymi pokarmami, odpowiadającymi dzisiejszej okazji (swoją drogą zawsze uważał, że święta mają swój niepowtarzalny charakter między innymi dzięki charakterystycznym dla nich potrawom), które okrywała biała serwetka z zielonymi akcentami bukszpanu wplecionymi tu i ówdzie.

Na pierwszym święceniu pokarmów, w poranek Wielkiej Soboty, ludzi było sporo. Ksiądz przedłużał uroczystość, przeciągając ją w nieskończoność, a Kuba myślał tylko o wspaniałych zapachach rozsiewanych w kościele. Cholera, od poprzedniego popołudnia nie miał niczego w ustach i dziś zjadłby konia z kopytami, gdyby tylko taki się napatoczył. Nic dziwnego, że świąteczne śniadanie ma tak wyjątkowy smak – kiedy człowiek niczego do ust nie wkłada, a nosi takie i siakie przysmaki w koszyczku, ich przyjemny aromat może bezsprzecznie skrócić jelita. Niemniej teraz bardzo żałował namiętności swego żołądka, bo gdy ledwie kilka minut wcześniej zaczął konsumpcję przyniesionych delikatesów, natrafił na coś iście ohydneho, co obrzydziło mu skutecznie resztę śniadania i odjęło ochotę na jakiegokolwiek posiłki. Zwykle, małe jajko. Nie za duże, nie za okrągłe, idealne w swym owalnym kształcie – podobne do setek tysięcy innych gotowanych jajek przynoszonych w koszyczkach, z tą różnicą, że w środku znajdowało się ciało niewyklutego jeszcze ptaka.

Jakub obłupał skorupkę nad stołem, uprzednio zbijając ją o kant, posuwistym ruchem dłoni zgarnął pokruszone skorupki na róg blatu i włożył przysmak do buzi, nie sprawdzając nawet jego wyglądu. Co też głód potrafi zrobić z człowiekiem! Dopiero gdy w zębach coś zachręściło mu nieprzyjemnie i trafił na chrupką rzecz w gotowanym jajku, zorientował się, że coś jest nie tak.

W pośpiechu wyciągnął spożywany produkt z ust, by dostrzec malutką główkę, z ledwie zaznaczonym dzióbkiem i czarnymi oczami, nie większymi od główki szpilki – nienaturalnie przestawionymi przez nacisk zębów, między które trafiła głowa nieuformowanego jeszcze pisklęcia.

Wspaniałym mechanizmem jest ciało człowieka. Współgra ze sobą doskonale, bo to, co zobaczyły oczy, umysł szybko prze-tworzył i w tej samej sekundzie zawiadomił niczego nie świadomy żołądek, by ten skurczył się w geście obronnym.

„Co za gówno mi sprzedali na bazarze?!” – pomyślał i zerknął w kierunku stołu.

– Tak, cholera, najświeższe jajka – mruknął do siebie. – Ile to coś musiało tam leżeć?

W końcu wyprostował się i ruszył w kierunku blatu. Na nim, a właściwie na okrywającym go, śnieżnobiałym obrusie, wciąż leżał niedoszły posiłek. Był już blisko – na tyle blisko, by zobaczyć kształty tego, co miał przed

chwilą w ustach, więc dla pewności zatkał je sobie ręką. W tym momencie przeszło mu przez myśl, że właściwie nie wie, czemu to robi i czego boi się bardziej: że zwymiotuje, czy że ohydne jajo–pisklę z powrotem wskoczy mu do gardła?

Jeszcze krok i drugi... Jezu. Jakub czegoś takiego w życiu nie widział i szczerze żałował, że dzisiejszego dnia ten stan rzeczy uległ zmianie. Białko było widoczne, zdecydowanie dobrze ugotowane, owalne, takie jak powinno być. Jednak u jego czubka, przez białko przebijała się już wyraźnie wykształcona główka, otoczona różowymi błonami. Małe, czarne oczka patrzyły pustym wzrokiem w nicość. Na domiar złego Kuba to przygryzł.

PRZYGRYZŁ, Boże, może lepiej było już zwymiotować, bo gdy pomyśli, że żuł to paskudne półpisklę... Przygryzł, naciskiem zębów krusząc malutką czaszkę, rozstawiając oczy w paskudnym, nienaturalnym ułożeniu – jakby całość była zrobiona niestarannie z różowej plasteliny, skąpanej w lepkim śluzie.

Po lewej stronie, mniej więcej w połowie wysokości jajka, tak samo różowe – choć pokryte grudkami – ciało przybrało kształt niedosłego skrzydła z wyraźnie zaznaczonymi kostkami. Małego, zawiniętego, z którego za jakiś czas mogłyby wyrastać żółte piórka. Gdyby tylko wcześniej Jakub go nie ugotował, nie poświęcił wraz z innymi jajkami, a później nie włożył do ust...

Dreszcz błyskawicznie przebiegł mu po karku, jeżąc wszystkie, nawet najdrobniejsze włoski. Wziął raz jeszcze głęboki oddech, by dodać sobie otuchy. Dłonie zacisnął w pięści, po czym postąpił dwa szybkie kroki w kierunku stołu, chwycił szybko, acz ostrożnie jajko i – trzymając je w bezpiecznej odległości od twarzy – ruszył pędem w kierunku szafek.

Ich dolny rząd nie różnił się niczym od tych zawieszonych na ścianie. Może tylko uchwyty otwierające szafki były umocowane ciut wyżej, tak by przeciętny człowiek nie musiał się do nich schylać. Jakub szarpnął jeden z takich uchwytów, lśniący, bo wcześniej starannie wyczyszczony, i otworzył na oścież środkową szafkę.

W jej wnętrzu znajdował się żółty, plastikowy kosz, w środku wyścielony czarną folią worka na śmieci. Prawie pusty, bo ostatni ładunek odpadków, papierków i pudełek wczorajszego wieczora powędrował do dużego, metalowego kubła na podwórku. Kuba z obrzydzeniem cisnął do niego trzymane w ręce jajo – a może już pisklę? Nieważne – dźwięk upadającej

substancji, szeleszczącej lepko o czarną folię, był na tyle nieprzyjemny, by zasugerować Jakubowi wymazanie potwornego incydentu z pamięci.

Ręce wytarł starannie w wiszącą nad zlewozmywakiem ściereczkę, po czym odwiesił ją na swoje miejsce, wyznaczone przez samoprzylepny haczyk, przyssany do ściany. Następnie profilaktycznie przejechał jeszcze dłońmi po prostych, czarnych sztruksach (gdyby jego żona to widziała, miałby burę jak w banku).

Spojrzał w kierunku tarczy zegara, ale ponieważ rażony promieniami wielkanocnego poranka nie mógł dostrzec zbyt dokładnie punkcików wskazywanych przez pozłacane ramiona wynalazku, sięgnął w kierunku chlebaka, ustawionego na szafkach. Na nim, w dość nietypowym skądinąd miejscu, leżały okulary pomagające Kubie w czytaniu. Położone były na stosie krzyżówek, które właściciel z zamiłowaniem wypełniał w wolnych chwilach. Czasami nawet i za długo, bo siedział w kolorowych krzesełkach do późnych godzin nocnych i Grażynka z pretensjami powiedziała kiedyś do niego, że wzrok popsuł mu się właśnie od tego. Okulary o czarnych, wąskich i eleganckich oprawkach wsunął na nos, poprawił za uchem i dopiero wtedy zobaczył dokładną godzinę.

Dziewięta dwadzieścia trzy. No cóż, skoro z powodu strajku żołądka śniadanie dobiegło końca, czas zabrać się za gotowanie obiadu. Grażyna wróci dziś z pracy o trzynastej, bo niestety ustawa o dniach wolnych od pracy nie przewiduje Wielkiej Soboty w swoim grafiku – i tak dobrze, że mały supermarket, w którym pracuje, przewidział skrócone zmiany, więc jej dniówka potrwa tylko sześć godzin. Obiad zostanie na jego głowie, ale na szczęście drugie ciasto przygotowują już oboje. No a potem zasłużony odpoczynek.

Pierwsze z ciast upiekli wczoraj. Wyrośnięty jabłecznik o zło-tym kolorze kusił zapachem, a pewnie też i smakiem! Jakub nie spróbował, bo gdy kładł się wczoraj spać, był jeszcze gorący i musieli wystawić go na schody prowadzące na strych, by ciasto wystygło i stężało. No i roztaczało wyborny zapach po kątach – całe szczęście, że nie mieli w domu myszy. Przynajmniej tak się Kubie wydawało. Wczorajszy dzień okazał się harówką niemalże nie do wytrzymania – jak to zwykle przed świętami. Zpracowana para, która znajduje czas na przygotowania ledwie dwa dni przed wielkanocną niedzielą, rokrocznie powtarza swój morderczy rytuał – sprzątanie, gotowanie, pieczenie, stroiki, odwiedziny na cmentarzu – jasna cholera, niby święta są

czasem odpoczynku, a człowiek przed nimi musi się napracować za dwoje. Koniec końców i tak co najwyżej wychodzi na zero. Wczoraj praca wrzała już od bladego świtu – Grażyna miała wolne w grafiku, Jakub wziął sobie specjalnie dzień urlopu, by jej pomóc – a i tak ledwie ze wszystkim zdążyli. Najbardziej nienawidził sprzątanania. Dwudziesta pierwsza na zegarze, a tu stos garów do umycia, podłogi brudne jak po przemarszu wojska, wszędzie bałagan. I jedziemy – dobrą godzinę lub dwie, nim to wszystko nabierze właściwych kształtów, a jabłecznik kusi, wypuszczając długie, dymowe macki przez dziurkę od klucza.

Na szczęście to było wczoraj. Dzisiaj Jakub z przyjemnością popatrzył na uprzątniętą kuchnię, pozmywane podłogi i natarte specjalnymi preparatami meble, błyszczące się w świetle poranka.

O pokojach nawet nie myślał, bo tam dopiero błysk aż raził po oczach. Zaś w całym tym pięknie wysprzątanym domu spoczywało ohydne jajko, z ptasią główką wystającą spod białka, jak skaza na porcelanowej tacy.

„Lepiej szybko się tego pozbędę” zdecydował, obmyślając już plan ratunkowy: ugotuje obiad, papierki po przyprawach i butelkę z żurku wpakuje do kosza, przykrywając leżące w nim ohydztwo, a potem, nie zważając na puste miejsce do wypełnienia, zawiąże worek i wrzuci go do kubła – jak najdalej od siebie i żony. Kosz zaś wyścieli nowym i wszyscy będą zadowoleni – najbardziej Grażyna, bo przynajmniej nie będzie świadoma istnienia takiego potworka.

Jakub zabrał się za sprzątnięcie ze stołu niepotrzebnych rzeczy i przygotowanie go pod radosne pląsy z nożem i łyżkami. Gdy prznosił wyciągnięte z koszyczka jajka, zatrzymał się na chwilę. Obserwował je uważnie, obracał w palcach, wzrokiem gładził nieco chropowatą powierzchnię ich skorup. Trzymał je w ręce i myślał: co kryje się pod tymi skorupkami? Czy symbol życia, aż nazbyt dosłowny, obdarzony główką i wątlym, kościstym skrzydełkiem? Wzdrygnął się, odstawił jajka na tacę, kładąc ją obok chlebaka. Ostatni rzut okiem i...odwrócił się na pięcie, wracając do stołu.

Włożył rękę do wiklinowego koszyczka, chwilę w nim pogrzebał i wyciągnął ją już z małymi pojemniczkami, powtykanymi pomiędzy palce. Sól, chrzan i tym podobne, ukryte w małych słoiczkach dobrodziejstwa położył na obrusie, zmienił uchwyt na pewniejszy i odniósł je do szafki. Kolejne ruchy dłoni i kolejne rzeczy pojawiały się na stole, wyciągane jak z

cylindra magika, a potem wędrowały na odpowiednie dla siebie miejsca – lodówka, szafka, albo zostawały na stole. Tak właśnie stało się z pachnącą przepięknie, wiejską kielbasą, wędzoną do uzyskania niemalże czarnego koloru. Wąską i cienką laskę Jakub ułożył starannie na deseczce do krojenia, w dłoń pochwycił długi, ostry nóż o drewnianej rękojeści i przyłożył ostrze do chrupiącej skórki. Poddała się cięciu z przyjemnym szelestem, odkrywając przed Kubą pyszne sekrety swego aromatu. Stał wędrowała w tę i z powrotem, dzieląc kielbasę na równe, niemal matematycznie obliczone plasterki – jeden, drugi, trzeci, aż trafiła na twardszą grudkę. Ostrze noża powędrowało kilka milimetrów dalej, krojąc plasterek, który natychmiast znalazł się w palcach Jakuba. Podniósł go na wysokość oczu, by zobaczyć co stawiło opór ostrzu...

Mały, okrągły i biały punkt sterczał wyraźnie pośród mięsa.

„Cholera, chrząstka” pomyślał Kuba i czubkiem noża wygrzebał ją z plasterka. A potem położył na krańcu stołu, dbając, by nie upadła na ziemię i nie została tam aż do spotkania z czujnym okiem Grażyny. Zresztą on sam również lubił porządek i lubił wiedzieć, gdzie co leży. Gdy tylko skończy, wrzuci ją do kosza.

Kolejne cięcia przyniosły niemiłe zdziwienie – okrągłe białe kuleczki były wszędzie. W każdym centymetrze krojonej kielbasy po dwie, trzy chrząstki stawiające zacięty opór nożowi.

„Ale bubel, a wyglądała tak dobrze...” – nadąsał się Kuba, przekładając nóż o kilka centymetrów dalej, próbując, czy kolejna część kielbasy jest już wolna od chrząstek. Przyłożył nóż, nacisnął, skórka rozdarła się.

– Dobry Boże... – wykrztusił z siebie, nie mogąc uwierzyć, co znalazł w lasce kielbasy. Cofnął ręce przerażony, wytrzeszczonymi oczyma wpatrując się w okropieństwo siedzące w mięsie.

Drżącą ręką, w której trzymał nóż, sięgnął w kierunku znaleziska. Czubkiem ostrza powoli, z nieprzyjemnym chrzęstem, wygrzebywał białe ciało, próbując oddzielić je od reszty kielbasy.

Spazmatycznymi, szarpanymi obrzydzeniem ruchami wreszcie oderwał intruza – małą główkę zakończoną trzema przyssawkami. Kuba nie miał wątpliwości, choć z biologii nigdy nie był prymusem, że w jego kielbasie jakimś cudem znalazła się główka tasiemca. Ponownie zatkał usta.

„Co jest z tym żarciem?!”

Za pomocą noża przysunął główkę bliżej. Jak to się tam w ogóle znalazło?

Słyszał o wielu przypadkach, gdzie tasiemce załęgały się w jelitach zwierząt, ale żeby ich rozczłonkowane fragmenty trafiły na sklepowe półki ukryte w kielbasie...? W tym momencie włosy stanęły mu dęba. Jakie cholerne szczęście, że zdecydował się sprawdzić co jest w przeciwległym końcu laski. Jakie szczęście! Inaczej wrzuciłby do garnka plasterki, w których gnieździły się małe, pieprzone jajeczka tasiemca, a potem zjadłby to z żoną na obiad!

Obrzydzenie ogarnęło go ponownie, nie mniejsze niż kilkanaście minut wcześniej, gdy w swych ustach trzymał... Faj! Szybko wyciągnął z jednej z szafek rolkę papierowych ręczników, oderwał kilka, złożył na pół, by warstwa papieru była grubsza, i całą laskę kielbasy, wraz z białymi, obrzydliwymi jajeczkami i oderwaną główką zgarnął na kolejne dwa ręczniczki. Zawinał ostrożnie i wrzucił do kosza, uważając, by nie zajrzeć do środka.

Dość, dość już tych okropieństw na dzisiaj! Jego żołądek znosił ten poranek coraz gorzej, ręce zaczęły mu powoli drżeć. Nie gotował zbyt często, chociaż to lubił. Po prostu praca nigdy mu na to nie pozwalała. Tyle razy jadł coś w barach szybkiej obsługi i innych fast foodach, gdzie personel pewnie nie uważał na to, co podaje gościom. Serwowane masówki nigdy nie odznaczały się zbyt wysoką jakością, chociaż były smaczne – i to się właściwie tylko liczyło. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, tak? Kuba nie był już tego wcale taki pewien – chyba wolałby wiedzieć, co je, niż delektować się smakiem, a potem trawić jakieś nienarodzone ptaki czy rozwijać w sobie pasożyty.

Mówi się, że przez żołądek do serca – dzisiejszego poranka najbliższej chyba było do zawału tego serca. Jezu, już nigdy nie zje żadnej kanapki w barach szybkiej obsługi. Kiedyś słyszał o kobiecie, która zamówiła sobie kanapkę z kurczakiem bez majonezu, a jednak dostała razem z nim. A kiedy poszła się poskarżyć, okazało się, że to ropa z zepsutego mięsa. Jeszcze wczoraj by to wyśmiał, tak jak wtedy, gdy usłyszał tę historię, ale dzisiaj postanowił, że przyzna rację koledze, który mu to opowiedział. Od dziś jego przekonanie na temat atestów przydatności do spożycia uległo gruntownej zmianie.

Szynkę obejrzał dokładnie z każdej strony, nim wrzucił ją do garnka po upewnieniu się, że nic jej nie dolegało. Miał być żurek wielkanocny z prawdziwego zdarzenia, będzie z szynką zamiast poświęconej zarówno przez księdza jak i tasiemca kielbasy. Plasterki zalał wodą, z szafki wygrzebał odpowiednie przyprawy, dodał szczyptę tego i tamtego, i postawił na

włączonym gazie.

Do lodówki sięgnął po żurek w butelce. Dokładnie zlustrował zawartość przez przezroczystą butelkę, ale i tam wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Wstrząsnął nią, wymieszał jak barman drinka i przelał do metalowej miseczki, by zmieszać z przyprawą w proszku. Przysunął jeszcze nos, czując ostry, kwaskowy zapach. Czy to coś jest zepsute? Nie, chyba nie. Zawsze tak pachniało, chociaż...

Po kilku chwilach wszystko było gotowe. Okulary na nos, rzut oka na zegar – za dziesięć minut dziesiąta. Żurek zaczął się gotować; Kuba doprawił go odpowiednio i mieszał dłuższą chwilę, dopóki nie wyciągnął łyżką ugotowanego ponownie jajka, z główką i skrzydełkiem wystającymi spod białka.

– Co to tutaj robi?! – wrzasnął sam do siebie i chciał odskoczyć w tył, lecz zahaczył łyżką o krawędź garnka i zrzucił go na podłogę. Wrzątek rozprysnął się i rozlał wszędzie, chlusnął na spodnie i koszulę Jakuba.

– Kurwa! – zawył, odskakując oparzony.

Mokry, gorący materiał wpił mu się w skórę palącym bólem, jakby wżerał się w niego ostrymi kłami. Szybkim ruchem wyciągnął koszulę ze spodni, odciągnął od ciała, parząc przy tym dłonie. W nerwach i bólu szamotał się z rozporkiem, aż w końcu urwał guzik i ostrym pociągnięciem rozsunał zamek. Spodnie opuścił do kolan, czując przenikliwy, przyjemny chłód, kojący ból, który nagle przemienił się w o wiele łatwiejsze do zniesienia, lecz wciąż nieprzyjemne pieczenie.

Po kilku sekundach uspokoił się nieco, koszulę zdjął powoli, rozwiesił na krześle. Papierowymi ręczniczkami starł z siebie resztki żuru, wyraźnie już wystudzone i omiółł wzrokiem całą kuchnię.

Biała, parująca zawiesina zatapiała kremowe płytki. Ściekała powoli, gęstymi stróżkami po piekarniku, pływała wokół wciąż palącego się kurka z gazem. Na niej setki, tysiące drobnych, ciemnozielonych i pokruszonych cząsteczek majeranku, plasterki szynki, oraz jedno potworne jajo.

Kuba złapał oddech, przymknął oczy na kilka sekund. Krew pulsowała mu w głowie, musiał ochłoniąć i wszystko posprzątać.

„Jakim sposobem jajko wydostało się z kosza i trafiło do żurku”? Na to pytanie nie był w stanie sobie odpowiedzieć, aż do momentu, gdy otworzył oczy. Wtedy dostrzegł coś, czego nie zauważył wcześniej – bo, jak sądził, zapewne wcześniej tego nie było. U dołu jajka, przez białko przebijały się

pokraczne, żółte nóżki. Zbyt wątle, by coś o ciężarze nawet tak niewielkim jak jajko mogło na nich się poruszać, ale... gdy nieżywe pisklę podskoczyło, plaskając w żurze ohydnie i stanęło na te nóżki, nogi Jakuba ugięły się pod nim, choć były znacznie większe od nówek niedoszonego pisklęcia.

– Co jest... – wymamrotał, nie mogąc oderwać oczu od potwornej karykatury, stojącej na podłodze, w kałuży z żuru. Teraz wyglądała jeszcze gorzej, bo przygryziona, ugotowana główka mieszała się z białą zawiesiną zupy. Spod niej łypały na niego małe, szkliste oczka – czarne, wygotowane, teraz galaretowate. Trzepoczące jak krople smoły na małej głowie, nie mogące się od niej odzepić. Przerażająca makabreska różowego mięsa, bieli i czerni wykrzywiła się, postąpiła kilka niepewnych, chwiejnych kroków.

Skrzydółko powoli uniosło się, jakby do lotu, lecz wkrótce opadło bez siły, dygocząc. Małe nóżki niosły potworka coraz bliżej i bliżej Jakuba, zostawiając na podłodze mokre, trójpalczaste ślady.

Ledwie wykształcony, miękki jeszcze dziobek rozwarł się w potwornym pisku, oczka zadygotały i pisklę poczęło biec, szybciej i szybciej, zdawało się krzyczeć: „zjedz mnie! Zrób to, co zacząłeś!”. Wskoczyło na krzesło, a stamtąd szybkim, sprężystym ruchem wzbilo się na obrus, brudząc go paskudnie.

Skrzeczenie, pisk i skok w kierunku rozwartych z przerażenia ust Jakuba. Ten szybkim ruchem ręki odbił pisklę, tracąc przy tym równowagę. Rąbnął jak długi na podłogowe płytki, tłukąc się boleśnie. Szybko poderwał głowę, by dostrzec w którą stronę poszybował odbity potworek. Wsparł się na łokciach – jak okiem sięgnąć, nigdzie nie mógł dostrzec małej karykatury. Pozbierał się szybko, nie zważając na łupanie w krzyżu, wzrokiem wciąż krążąc jak obłąkany po kuchni.

„Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?” – w głowie kołatała mu natrętna myśl. Podciągnął spodnie, zasunął zamek – bez urwanego wcześniej guzika i tak zjeżdżały mu z bioder. Ostygła plama ziębiła nieprzyjemnie podrażnione nogi. To nic, to nieważne. Najpoważniejszym problemem był teraz mały, nierozwinięty pisklak, w przedziwny sposób wystający z ugotowanego białka, skrywający się gdzieś w zakamarkach kuchni.

Kuba zajrzał jeszcze pod stół, pomiędzy drewniane nogi krzeseł, odsunął jedno i drugie, ale kiedy nie znalazł tam intruza, postanowił stanąć na środku pomieszczenia – stwierdził chyba, że będzie to najlepsze, najbezpieczniejsze miejsce. Z którejkolwiek strony tamten by nie wyskoczył, będzie musiał

kawałek przebiec, by znów rzucić się na Jakuba i spróbować wpełznąć mu do ust siłą swego wątego, ugotowanego ciała.

Stał tak, spięty, głową obracając w tę i z powrotem, próbując dostrzec jakieś podejrzanе ruchy w kątach i wszelkich zakamarkach, ale nie dostrzegł nic. Stworek zapewne musiał wpełznąć za szafki lub kuchenkę – a może w ogóle wybiegł z kuchni, przecież drzwi był otwarte. Jeśli tak, Jakub będzie miał duży problem – w domu jest tyle miejsc, w których taka mała „rzecz” może się skryć...

Podskoczył jak na szpilkach, gdy jego uszy poraził odgłos dobiegający z lodówki. Odwrócił się na pięcie, spojrzał w kierunku chłodzącego agregatu – z całą pewnością coś w nim się ruszało, grzechotało o szybę i półki.

Kuba przełknął ślinę, chwycił za rączkę otwierającą drzwi i pociągnął ją z całej siły. Lodówka stanęła przed nim otworem.

Odsłoniła zwinięte pęto kielbasy, której część chciał wrzucić do żurku (cholera, powinien był wyrzucić całość). Oczywiście w swym wnętrzu skrywała też inne rzeczy, ale z nich nie wyrastały ogromne jajka, rozrywające skórę, przebrzydłe, przyprawiające o mdłości.

– Co to kurwa jest? – wyjęczał Kuba i nagle cofnął z obrzydzenia głowę.

Koniec kielbasy rozerwał się i zaczął z niego wypełzać tasiemiec, niczym przedziwny, cienki wąż. Od główki opatrzonej w przy-ssawki przez spłaszczone segmenty ciała zaopatrzone w dodatkowe haczyki – potwornie długi spęzał po półkach na niższe poziomy, aż do samej podłogi. Jajka zaczęły pękać, a z nich jak małe, białe nitki wysypywały się kolejne pasożyty, kłębiąc się rojem po całej zawartości lodówki.

Tym razem nie wytrzymał. Odskoczył, wsparł się o ustawione na przeciwległej ścianie szafki i zwymiotował wprost w rozlany żur. Ostry zapach wymiocin przeszył kuchnię. Ciałem Jakuba wstrząsnął dreszcz. Wytarł usta ręką, nie dbając nawet o higienę i spojrzał w dół. W żółto-pomarań czowo-brązowej substancji pełno było niestrawionych resztek pokarmów, które zjadł rano, pomieszanych z sokami żołądkowymi i po części tylko strawionymi ostatekami kolacji. Całość komponowała się z białą rozlanego żuru w fatalny sposób – taki kolaż mógł zaaranżować tylko twórca kompletnie pozbawiony gustu.

Najgorsze były jednak małe, białe robaczki rojące się w wymiocinach. Drepczące niewidocznymi nóżkami po resztkach, skąpane w cuchnącej mazi.

Jakubowi powtórnie zebrało się na wymioty, lecz wstrząsnął nim tylko

silny spazm. Zakrztusił się, nie mając już czym wymiotować.

Odwrócił wzrok, myśli kotłowały mu się w głowie. „Co ja zjadłem? Co się tu dzieje?”. Przez przygodę z robaczkami, które przed momentem zwymiotował, stracił całą czujność i o mały włos tasiemiec nie wpełzł mu do nogawki.

Kuba odskoczył, poślizgnął się na zalanej zupą i zarzyganej podłodze, ale w ostatniej chwili zdołał się złapać szafki i utrzymał równowagę. Ślizgając się, rzucił się w kierunku stołu, chwycił ostry nóż – raczej instynktownie, ale było to jednym słusznym rozwiązaniem, jakie w tym momencie mogło mu przyjść do głowy. Tasiemiec sunął za nim szybko, rozcinając kałużę jak potworna, obła motorówka. Jakub bez zastanowienia odwrócił się i ruszył pędem w kierunku wyjścia.

Na progu spotkał starego znajomego, z otwartym dziobem – skrzeczącego i podskakującego na pokrzywionych nóżkach.

W momencie, gdy szykował się do ponownego skoku, Kuba poczęstował go mocnym kopnięciem; potworek wyleciał z kuchni aż na korytarz i z impetem uderzył o obitą korkiem ścianę, pozostawiając na niej mokry, ciągnący się ślad. Upadł na dywan dygocząc, krztusząc się, po czym znów przybrał pozycję stojącą, gotowy do walki. Ale Jakub był już daleko, na końcu korytarza, przy drzwiach do łazienki. Spędził w niej następne godziny, z nożem w ręce, na wypadek gdyby tasiemiec próbował prześlizgnąć się pod drzwiami i wdrzeć nieproszony do jego ciała. On, albo jego mali kompani. I gdyby nierozwinięte pisklęta chciały przejść przez kratkę wentylacyjną, łączącą kuchnię z łazienką. Nigdy przecież nie wiadomo, co może wykluć się z feralnych jajek.

Gdy usłyszał stukanie do drzwi, poderwał się z podłogi. Nóż ścisnął mocno, aż drewniana rękojeść wpiła mu się w rękę. Na-piął wszystkie mięśnie, przygotowując się na bitwę ze stworami, które opanowały kuchnię, a do tego czasu pewnie i cały dom, lecz usłyszał tylko przerażony, pełen troski głos.

– Kuba, jesteś tam? – Grażyna wołała z korytarza wyraźnie przestraszona.
– Odezwij się, proszę! Nic ci nie jest? Kuba proszę, co się dzieje?

Skoczył do drzwi, przekręcił klucz w zamku, otworzył je i szybkim ruchem wciągnął żonę do środka.

– Co się...?!

– Ciii! Były tam? Nic ci nie zrobiły? Gdzie teraz są?

– O czym ty mówisz? Kuba, odłóż ten nóż, proszę! Tam nikogo nie ma. Zobaczyłam cały ten chaos w kuchni i przestraszyłam się, że coś ci się stało. Kuba, uspokój się, o co chodzi?

Spojrzał na nią przerażony. Nie wiedział, co robić, co jest prawdą, a co nie. Gdzie podziali się intruzi, robaki i potworki z jajek?

Co się dzieje?

Grażyna nie wiedziała i on tym bardziej nie wiedział już nic.

Stał tak, blady jak ściana, wpatrując się w drzwi, a raczej szczelinę pod drzwiami. Nóż oddał żonie, ta odłożyła go do umywalki, przejęta tylko i wyłącznie złym stanem męża – nie zaś tym, co mogło ją spotkać w kuchni i korytarzu.

– Kuba, wszystko będzie dobrze – powiedziała i przytuliła go mocno, a on odwzajemnił uścisk, choć wciąż spoglądał pod drzwi.

*

Godzinę później siedział w tej samej kuchni, z której rankiem uciekał, przy tym samym stole, roztrzęsiony, z kubkiem gorącej herbaty w ręce. Ścisnął go mocno, choć parzył go w dłonie. Starał się poukładać myśli.

Żona posprzątała wszystko. Było mu potwornie wstyd, ale nie był w stanie nawet tego zrobić, nawet posprzątać po samym sobie. Nie umiał wytłumaczyć, co się stało, chociaż próbował. Bojąc się wyśmiania i tak opowiedział o tym wszystkim, co widział, co miał w ustach tego ranka, a Grażyna słuchała cierpliwie, patrząc na niego zatroskana. Wyciągnęła kosz, stojący w środkowej szafce. Sama sprawdziła jego wnętrze, po czym pokazała Jakubowi – na wpół nadgryzione jajko i jeszcze pachnąca, pięknie uwędzona kiełbasa, pokrojona w kawałki. Otworzyła lodówkę, by dostrzec także samo pęto kiełbasy na półce. I nawet gdy próbowała ją rozkroić, nie znalazła żadnych podejrzanych śladów. Wszystko było w najlepszym porządku. Przytuliła męża.

– Pewnie czymś się zatrueś, może to kwestia nieświeżej żywności – powiedziała cicho. – Jedz, to ci nie zaszkodzi.

I podsunęła mu talerzyk z kawałkiem pysznego jabłecznika.

Przyjrzał się mu dokładnie – pachnące, kruche ciasto, nie skażone niczym widocznym. Podniósł kawałek do ust. W połowie drogi zatrzymał rękę, słysząc wyraźnie, jak kruchy wierzch ciasta pęka.

Skierował wzrok na swój kawałek... wystawała z niego główka upieczonej dżdżownicy. Wiła się potwornie, wirując, częściowo wciąż uwięziona w cieście.

Jakub odrzucił ciasto na stół.

– Grażyna... – szepnął tylko, bez sił, ale żona i tak nie usłyszała jego słów.

Szelest stał się nie do zniesienia – całe ciasto na brytfannie wzburzyło się, pękało w dziesiątkach, setkach miejsc, a z każdego pęknięcia wypęły następne robaki, kłębiąc się i rojąc na całym placku, wysypując na stół, upadając garściami na podłogę.

Jakub zaczął krzyczeć.

*

Ledwie miesiąc później leżał w swym własnym łóżku, wychudzony, pozbawiony jakichkolwiek sił. Był szkieletem, wrakiem człowieka, ale Grażyna wciąż go kochała. Z czerwonymi od płaczu oczami próbowała go nakłonić do zjedzenia choćby łyżeczki jogurtu, najwyraźniej nie dostrzegając, że kawałki owoców były w nim poczerniałe od zgnilizny.

Głaskała Kubę po głowie, z oczu ścierała łzy. Lekarz nie zamierzał jej oszukiwać – rak mózgu toczył jej męża w przerażającym tempie. Rozwijał się, pochłaniał szare komórki, wywoływał halucynacje. Nie byłby zapewne tak morderczy, gdyby Jakub z nim walczył. Ten jednak poddał się od razu, nie podnosząc nawet rękawicy. Przestał jeść i niemalże zagłodził się na śmierć. Żył tylko dzięki kroplówkom, bo tylko te mógł przyjmować – ale takie życie nie mogło trwać długo. Nikt nie wiedział, dlaczego wzbrania się przed pokarmami. Nikt najwidoczniej nie dostrzegał, jakie rzeczy się w nich kryją. Nikt poza nowotworem, który ucztował spiesznie, gryzł łapczywie i do końca maja zjadł swego żywiciela w całości.



Rafał Kuleta

Lokalizacja: mentalnie ogólnie zagubiony, ale świetnie się czuje w jakimś cichym zaułku niekończącego się labiryntu wyobraźni; fizycznie – na razie Gdynia, Trójmiasto, Polska, w przyszłości zamierza być wszędzie, głównie na Marsie **Styl bizarro:** horror, makabra, groza, barokowe gore, splattercore, surrealizm, bio–cyber–dadaizm, hardcore–techno–neo–romans, fetyszystyczno–industrialne porno **Publikacje:** *Grabarz Polski*, *Lśnienie*, zbiór drabli „Krótkie Dni i Noce”

Opis: nieśmiały, wrażliwy, poetycko nadromantyczny, wiecznie spragniony miłości **Zainteresowania:** morza i oceany **Wpływy:** wszyscy i wszystko **Strona autorska:** www.braciasyjamscy.bloog.pl

Wciśnięci w siebie

Neomandamian Antamantazczaszkitrzaski wyglądał przez wizjer na klatkę schodową, obserwując z coraz większym zainteresowaniem piękne, sztywnie wystrojone kobiety i przystojnych, równie elegancko prezentujących się mężczyzn, wspinających się po schodach na sześćdziesiąte siódme piętro, do mieszkania państwa Wieszczyeciubińskich, żyjących tuż nad Neomandamianem. To mogło oznaczać tylko jedno: znowu zapowiadała się hałaśliwa, huczna, zakrapiana hurtowymi ilościami alkoholu impreza.

Kobiety i mężczyźni schodzili się najpierw parami: niektórzy trzymając się za ręce, inni tuląc się do siebie, a jeszcze inni żywo prowadząc dyskusję na tematy zupełnie ich nie interesujące, ale stanowiące pewne ożywienie podczas długiego spaceru na sześćdziesiąte siódme piętro. Później inne kobiety i inni mężczyźni pojawiali się przed wizjerem Neomandamiana, tym razem jednak w zbiorach jednostajnie rosnących, rozrastających się aż do kilkunastu osób na grupę.

„Za każdym razem, odkąd pamiętam, czyli od kiedy żyję w tym molochu, schodzą się do tych Wieszczyeciubińskich coraz liczniejsze grupy osób. Z tego co widzę, ta impreza u góry staje się coraz popularniejsza, zastanawiam się tylko, jak oni się tam wszyscy zmieszczą – przecież to niemożliwe, żeby mieszkanie o powierzchni sześćdziesięciu sześciu metrów kwadratowych pomieściło taką liczbę osób... W ogóle skąd oni się tu wszyscy biorą?”

Właśnie teraz Neomandamian Antamantazczaszkitrzaski uświadomił sobie z jakąś nutą niepokoju, że tak naprawdę nie wie nic o swoich sąsiadach, nawet tych najbliższych – mieszkających w małej, lokalnej społeczności bloku–molochu na sześćdziesiątym piątym, sześćdziesiątym szóstym (czyli tam, gdzie Neomandamian) i sześćdziesiątym siódmym piętrze (tam, gdzie państwo Wieszczyeciubińscy). Przygnębiony tym odkryciem, Neomandamian zasłonił wizjer, zdołowany spuścił głowę i – drepcąc, a raczej człapiąc w brązowo–żółtych sandałach – wrócił do codziennych, monotonnych, urywanych rysującą się jak widmo rutyną, coraz to bardziej podobnych do siebie czynności i zajęć.

Rozłożył na łóżku wszystkie zdjęcia Kariny. Jego rozgorączkowany wzrok skakał z jednego na drugie. Patrząc, czuł zapach jej perfum, idealnie skomponowanych z naturalnym zapachem skóry, czuł ciepło jej zalotnego uśmiechu, dotyk jej czarnych, brązowych, białych lub czerwonych skórzanych rękawiczek. Dłonie w takich rękawiczkach potrafią zdziałać cuda. Mogą sprawić, że osiągnie stan równy orgazmowi Boga.

Najcenniejszymi zdjęciami były te, które podarowała mu Marianetanna, najlepsza przyjaciółka Kariny. Przedstawiały jego boginię w grubym brązowym kożuchu i białej futrzanej czapce.

Dziesiątki kolorowych kserokopii, których nie szkoda mu było zużywać. Fotografie trzymał w specjalnym albumie. Ale nawet gdy chciał któreś skserować, wkładał je najpierw do plastikowej koszulki i dopiero wtedy robił odbitkę. Oryginały traktował z największym namaszczeniem, jak najświętsze relikwie.

Nie patrzył teraz na swoją kolekcję. Ta chwila również potrzebowała odpowiedniej oprawy. Za każdym razem, kiedy wracał wzrokiem, twardość jego męskości przekraczała wszelkie dopuszczalne normy. Pogładził jedno ze zdjęć. Karina wyszła na nim jak żywa.

Palce dotknęły miękkiego włosia na fotografii. Poczuł niezwykły, podniecający prąd, wiele strumieni podniecającego prądu, ładującego się i kończącego na wtyczce, gotowej już do włączenia i poruszenia żelazoliwnego statkoczołgu utkanego z piaskoplaży.

Fale impulsów łechtaly go przyjemnie, doprowadzając do niebiańskiego, orgazmogiastycznego stanu.

Zakwilił z rozkoszy. Postać kobiety ze zdjęcia wyciągała do niego dłoń w brązowej skórzanej rękawicze.

Przysunął się bliżej. Dłoń objęła jego głowę i zaczęła ją pieścić.

Coraz szybciej i intensywniej. Neomandamian szybko się wyłączył. W pewnej chwili zamknął oczy i wzleciał pod niebiosy.

Gęsty, bajecznie aromatyczny, pełen życia, jego własny ekstazodajny płyn pokrył całą powierzchnię fotografii. Mężczyzna, dysząc z wyczerpania, wpatrywał się w swoje nasienie, kielkujące nagle i zaczynające już wzrastać, by wkrótce osiągnąć gigantyczne rozmiary rośliny wielkiej jak on sam. Roślina ta przybierała rozmaite kształty: najpierw dziwaczne, później pokraczne, aż wreszcie nieudaczne.

Roślina nie była rośliną.

Przyjęła w końcu kształt na jego podobieństwo.

Położył się, miętoląc – we wciąż jeszcze nieoklapniętej ekstazie – zgwałcone zdjęcie. Dyszał głośno, z każdą chwilą wyrównując oddech. Zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, Karina siedziała obok. Wyglądała dokładnie jak na zdjęciu. Ten sam brązowy kozuch, ta sama biała futrzana czapka i sięgające do kolan kozaki. Wyciągnęła do niego dłoń w brązowej skórzanej rękawiczce, którą dotknął, przechwycił, a następnie przyciągnął do siebie. Nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej się zbliżyła.

Wstał, objął ją. Dała mu do zrozumienia, że chce z nim dokądś pójść. Z kieszeni kozucha wyjęła dwa bilety do kina. Chciał

polizać jej palce, które tak blisko jego ust szeleściły dwoma kartonikami. Neomandamian przyjrzał im się uważniej: to były jej zdjęcia. Karina rzuciła je na podłogę. Ze zdjęć wyszły dwie tak samo ubrane Kariny, które płynnymi, ekstatycznymi ruchami zbliżyły się do niego, szybkimi i zdecydowanymi ruchami zdarły z niego ubrania, i łagodnymi, stanowczymi, dominującymi ruchami doprowadziły go na jeszcze wyższe szczyty, wzrastające w nieosiągalnych głębinach gęstej spermy.

Zanim wyszedł do kina, zrobił to jeszcze dwa razy, z tymi sa-mymi zdjęciami.

*

Mijał molochy molochów, zablokowane blokowiska, odcięte od świata osiedla, osiedlone niezliczoną ilością istnień, przeżyć, wrażeń, emocji; osiedla osiodłane schematami, planami, wdrożonymi w życie projektami; zmierzał tam, gdzie mógł przekroczyć niewidzialną granicę osamotnienia i zapomnienia, by samemu zapomnieć.

Gmach kina roztaczał się roztoczonymi wokół siebie roztocza-mi, przez które przeszedł jak przez plazmę, by po krótkiej chwili kupić byle jaki bilet na byle jaki film i nie byle jaką czekoladę z truskawkami – znakomitą na chwilę półtoragodzinnego zapomnienia.

Ucieszył się, że na sali nikogo nie było, ponieważ mógł rozkoszować się seansem w milczeniu, w skupieniu, w obnażeniu, gdy na ekranie pojawiła się jego ulubiona aktorka, grająca zresztą w większości filmów wyświetlanych w kinach. Przypominała trochę jego Karinę, „jego” to oczywiście za dużo

powiedziane, ale czymś przecież trzeba żyć, karmić się, mieć jakąś nadzieję, bo przecież jakżeby inaczej?

Uświadomił sobie, że zakup byle jakiego biletu na byle jaki film nie był tak naprawdę byle jakim wyborem, byle działaniem, byle działać, bo podświadomie i świadomie wybrał się do kina, chcąc zobaczyć „jego” Karinopodobną aktorkę, i nieważne, jak naprawdę się nazywała, on po prostu nazywał ją Kariną.

Odbывała właśnie stosunek z kimś, a dokładnie z kimś, w kim Neomandamian widział siebie. Pełne wyzwolonej akcji intymne zbliżenie, mimo że na ekranie, mimo że upublicznione, to jednak stosunek płciowy, taki długi, jęczący, mocno erotyczny, nie pornograficzny, ale pieprzny, wystarczająco doprawiony, by tkwić w długim, męczącym podnieceniu, w stanie erekcji przygotowującej ciało na wyzwolenie się, objawienie, wyjawienie jaźni, zapomnienie się w sobie i poza sobą, doświadczenie odchodzenia w nieokreślony niebyt, bezład, kosmicznie uporządkowany chaos, galaktycznie przeżywany orgazm.

Jeszcze palce dygotały od gorąca, od pobudzonego, pospiesznie bijącego serca, kleiły się od lepkiego życia przeciekającego mu między rowkami na opuszkach, kiedy poczuł czyjaś obecność tuż za sobą, jakąś zmianę w otoczeniu, sprawiającą wrażenie, nie jakby ktoś się właśnie dosiadł, lecz jakby tkwił tam od początku, chociaż to niemożliwe i na pewno tylko mu się wydawało.

Nieważne, gdyż na ekranie znów miało dojść do zapłodnienia, do intymnego złączenia widza z ekranem, do pogłębionego przeżywania, do ekstazy! I znowu to podniecenie, znowu zrobienie, rozładowanie, zadośćuczynienie. Tym razem wyraźnie widział, że coś, albo raczej ktoś siedzi na sali. Rozejrzał się i potwierdził, przytaknął samemu sobie, że tak, rzeczywiście, zewsząd otaczają go jakieś osoby.

„A skąd ci się tu wzięli? Nie widziałem, żeby ktoś wchodził.”

Koniec filmu zbliżył się nieubłagane, można wręcz dodać, że przytupał cichaczem, kiedy nieoczekiwanie okazało się, że ekranowa Karina z ekranowym Neomandamianem mają po raz ostatni się zapłodnić, zapylic końcówkę filmu ostatnim smaczkiem, takim w sam raz na dobre zatrzymanie wspomnień i przechowanie w pamięci tego, co najistotniejsze. Po trzecim zdobyciu szczytu siebie, Neomandamian wyjął czystą ręką chusteczkę higieniczną i wytarł lepkie palce, nagle uświadamiając sobie, że chusteczka

jest sucha.

„Tak się wcześniej wypróżniłem, że na trzeci raz już nie starczyło.”

Napisy końcowe, zapalają się światła, Neomandamian wstaje z fotela, stwierdzając równocześnie, że na sali jest już bardzo dużo ludzi, może jeszcze sala nie była do końca wypełniona, jak to się mówi: po same brzegi, ale dobrze i tak, a wręcz bardzo dobrze.

Wszyscy wstają i patrzą na niego, i wtedy dzieje się coś dziwnego, to znaczy w nim zachodzi coś dziwnego, ale też i w otoczeniu, albo w nim dzieje się coś bardzo dziwnego, a w otoczeniu – coś jeszcze dziwniejszego.

Kiedy Neomandamian wreszcie się odważył i spojrzał w przyglądające mu się twarze, stwierdził z przerażeniem, że wszystkie osoby, które się w niego wpatrywały, wszystkie obecne na sali osoby, miały twarze podobne do jego własnej, tylko że bardzo pomarszczone, stare i zarazem... niemowlęce!

Ludzie o twarzach pomarszczonych noworodków odwrócili się powoli i wyszli z sali kinowej, pozostawiając Neomandamiana samego, opuszczonego, wystraszonego i zszokowanego. Jeszcze długo po napisach końcowych siedział nieruchomo, wpatrując się w pusty ekran, aż obsługa grzecznie go wyprosiła.

Głowa wciąż łomotała, kiedy wychodził na zewnątrz, prawie zataczając się na chodniku, na którym po chwili zobaczył mnóstwo ludzi.

„A co to jest? Jakieś święto dzisiaj?”

Ulice nabite, napakowane, przepakowane, spakowane, autobusy jak puszki wypełnione sardynkami, śledziami oraz sardynkowymi, śledziowatymi ludźmi po brzegi.

Wrócił do domu. Kiedy wchodził do środka, zobaczył, że jakieś obce osoby kręcą się po mieszkaniu.

– Przepraszam? – wyciągnął przed siebie rękę i wszedł do pokoju. Nikogo tam nie było.

Ktoś wszedł do kuchni. Neomandamian wbiegł tam szybko.

Również pusto.

„Zaczynam fiksować. Muszę się rozerwać. Kino mnie nie rozerwało, wręcz przeciwnie, tylko bardziej napięło nadwerężone nerwy.”

*

Neomandamian Antamantazczaszkitrzaski udał się dwie przecznice dalej,

do serdecznego kumpla z czasów piaskownicy (kiedy jeszcze piaskownice pełne były piasku z plaży, a nie żwiru z kamieniołomu, jak w dzisiejszych czasach): Krzysztoforoworusa Wrzeszczyzeszczykiewicza.

– Siemano! – Krzysztoforoworus powitał Neomandamiana już w progu.

– Siemano! – odpowiedział Neomandamian. – Widzę, że wymieniałeś sobie próg w drzwiach.

– Siema!

– Sie!

– No to włącz już, żeby korzeni nie zapuścić w ten cholerny próg. Wyobraź sobie, w zeszłym tygodniu wpadł do mnie Bronisłastaniłowisław, ale jak zaczął się witać i wymachiwać tymi swoimi żółwikami i psiakami i prosiaczkami, to w końcu się stało: zapuścił korzenie, prosto w próg. A wiesz jak to trzyma. Zero szans. Musieli go żywcem wrywać. Próg poszedł w pizdu się leczyć na trzepak. Na przemiał. Uspili go i tyle było. A tak się już zżył z mieszkaniem. I tak wdzięcznie jęczał, kiedy się ktoś zbliżał. No to musiał przyjść taki Bronisłastaniłowisław i wszystko zepsuć. Nie dość, że się rozwiódł...

– Co? Bronisłastaniłowisław się rozwiódł? Z Animonikatą?

Niemożliwe.

– Niemożliwe to jest do wymówienia nazwisko naszego prezydenta miasta.

– No fakt. No cóż. No. Ciekawe rzeczy mi tu już na samym wejściu opowiadasz. Co robisz? – Neomandamian wszedł wreszcie do mieszkania Krzysztoforoworusa.

– Nic specjalnego. Oglądałem wiadomości, ale za długie były, więc wyłączyłem pudło.

– A o czym gadali?

Neomandamian zzuł buty i wzuł kaptcie.

– Pierdolili bez sensu, coś o bateriach słonecznych, które im więcej wyłapują słońca, tym bardziej niebezpieczne się robią.

Wiesz, rosną coraz większe, rosną w siłę, rosną im kończyny, rosną jeszcze większe, silniejsze, sprytniejsze i ludzie muszą prowadzić długie negocjacje, żeby wielmożnie raczyły, kurwamaćdo-chujapana, opalać się na ich posesji do woli, za friko. Jebać tę całą biotechnologię. Jak im tak bardzo zależy, to niech sobie zaludnią całą Ziemię maszynami i będzie spokój.

– Chyba „zamaszynują” – zauważył Neomandamian.

– Co?

– Zamaszynują. Nie zaludnią, tylko zamaszynują. Ale cipochuj z nimi.

– No pewnie.

Usiedli przy stole w dużym pokoju.

– A co u ciebie? Chwal się.

– Nie ma czym – sposepniał Neomandamian.

– Co, z Kariną nic? – Krzysztoforoworus spytał ściszone głosem.

– A było coś kiedykolwiek?

– No nie wiem, tylko pytam.

– Karina to inny świat. Mogę ją sobie na zdjęciu pooglądać – Neomandamian odruchowo sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął zdjęcie i równie odruchowo od razu się podniecił. Bezwiednie złapał się za majtki, gotowy, by się wyruchać. – Muszę to zrobić.

– Zrób – pochwalił decyzję przyjaciela Krzysztoforoworus.

– Lecę do łazienki! Nie wytrzymam!

– Może ja do ciebie dołączę?

Neomandamian nie oponował, więc Krzysztoforoworus pobiegł za nim do łazienki. Nagle coś go natchnęło, dotknęło, zainspiowało.

– Poczekaj, nie rób tego! – zawołał do Neomandamiana, który już wskakiwał w niemalże króliczych podskokach do łazienki, cały czas trzymając się za krocze. – Mam lepszy pomysł!

Krzysztoforoworus podszedł do pralki i zza jej bocznej ścianki wyjął niebieską plastikową miskę.

– Zrobimy sesję.

– Jaką sesję? – Neomandamian uwolnił klejnoty ze szkatułki majtek; stanął podniecony i zdziwiony przed przyjacielem.

– Dołączam się do ciebie.

– Bez kitu.

– A dlaczego nie? Tylko ty możesz mieć przyjemność? Zrobimy to razem, do tej miski, i będzie podwójna przyjemność.

– Krzysztoforoworus bez słowa zdjął majtki, odkrywając zwisający wór pełen plemników.

– Ale ja tak nie mogę.

– Nie myśl o mnie, tylko o swojej lasce. A najlepiej to zasłoń się zdjęciem, nie będziesz mnie w ogóle widział.

*

– Co zrobimy z zawartością tej miski? – spytał Neomandamian, kiedy już było po.

– Nie wiem. Wypijemy za nasze zdrowie?

– A czemu nie? – Neomandamian uśmiechnął się radośnie.

– Laski se maseczki z kremu spermowego robią, to czemu my nie mamy własnych drinków robić?

– No to dawaj, skoczę po drugą miseczkę – Krzysztoforoworus uwinął się w trymiga i po chwili przelewał spermę do drugiej miseczki. – Sporo tego.

– Sporo – przytaknął Neomandamian. – Zaludniłby tym całe miasto.

– Drugi raz nie powtarzaj – Krzysztoforoworus mrugnął znacząco do przyjaciela. – Opowiem ci drabbla: Był sobie taki gościu, no, przynajmniej słyshałem taką historię o takim gościu, który po każdym wytrysku na ręcznym lizał swoją spermę. Z czasem tak nabrał apetytu, że zaczął ją połykać. Lubił też rozcierać spermę w dłoniach, a potem oblizywać palce z gęstej wydzieliny. Czasami też czekał, aż wszystko zacznie się lepić i sklejać. Wesoly i szczęśliwy był przy tym jak nigdy. Aż któregoś masturbacjorgiastycznego dnia po wytrysku połknął spermę: smakowała mu jak nigdy. No, ale z tych plemników, które połknął, zaczęli powstawać ludzie. Zaczęli wychodzić z niego, wiesz, tak po prostu sobie wyszli. W ogóle nic po nim nie zostawili.

– Myślisz, że...

– Nic nie myślę, stary! Ty też nie myśl! – Krzysztoforoworus wznosił miseczkę. – No to za nas! Chlup w ten głupi dziób!

Stuknęli się miseczkami, zbliżyli je do twarzy, kiedy nagle zobaczyli, że w środku kleisto–płynna ciecz drgnęła, nieznacznie zbulgotała i zaczęła gwałtownie rosnać. Odsunęli miseczki i spojrzeli na siebie.

– Widzisz to, co ja? – pytali równocześnie i równocześnie przytaknęli. Odłożyli miseczki na stół. Nagle sperma poderwała się, wyskoczyła z pojemników, połączyła się i przez moment zobaczyli miliony swoich twarzy: osobno, połączonych, morfujących się, zlewających ze sobą, znikających. Widma twarzy ściekły ze stołu jak płynne zegary i rozpełzły się po całym pomieszczeniu.

Przyjaciele milczeli długą chwilę.

– Chyba lepiej się nie brandzlować – stwierdził po dłuższym czasie

Krzysztoforoworus.

– To co robić? – Neomandamian rozłożył bezsilnie dłonie.

– Znaleźć dupę, wyciąć szablon i powielić się w niej do upadłego.

– Jak chcesz wyciąć szablon z dupy? W ogóle ją znajdziesz? Kto by cię chciał? Bez obrazy, oczywiście. Z obrażą to chyba nikt.

– A mało tego kwiatu?

– Przecież jest jesień.

– Weź siebie i idź – machnął ręką Krzysztoforoworus. – Nic dziwnego, że żadna cię nie chce.

– Nie żadna tylko Karina.

– Tak, na zdjęciu. Ona naprawdę istnieje? W realnym realu?

– Naprawdę istnieje. Jest realniejsza od reala. Tylko zupełnie nie wiem, gdzie jest.

– To skąd masz te zdjęcia?

– Od Marianetanny, najlepszej przyjaciółki Kariny.

– To nie możesz z nią pogadać, żeby cię spiknęła z twoją muzą?

– Kilka razy próbowała...

– No i? – nalegał Krzysztoforoworus.

– No i stąd mam te zdjęcia.

– Karina ci pozowała? – na dźwięk imienia wybranki swego serca, padającego z ust Krzysztoforoworusa Neomandamian aż drgnął. Zdołał jednak utrzymać dekorum.

– Nie tylko – Neomandamian zamilkł, a Krzysztoforoworus nie naciskał. Chwila przerwy. Po tej chwili Neomandamian znów się odblokował. – Ona się mną bawiła – Neomandamian celowo nie powtarzał imienia kobiety, trudno mu było wymawiać je bez angażowania się emocjonalnego i fizycznego.

– To chyba dobrze, czy nie? – Krzysztoforoworus zagadnął ostrożnie.

– Wiedziała, doskonale zdawała sobie sprawę, że mnie podnieca... – zaczął Neomandamian: – ...I najwyraźniej ją to bawiło...

– Po tych słowach smutno zwiesił głowę.

Krzysztoforoworus wykazał się godnym podziwu taktem i nie nagabywał więcej. Neomandamian nie musiał przecież kończyć, dodawać, przyznawać się, że jego nieszczęśliwa miłość była tylko i wyłącznie mrzonką. Prawdziwa Karina, nie ta na zdjęciach, w ogóle się nim nie interesowała. Wszystkie akcje działały się jedynie w jego głowie.

– Wiesz co, ja spadam – Neomandamian jakby się nagle ocknął. – Dzięki za mile spędzony czas – podziękował przyjacielowi i ruszył do drzwi.

– Nie ma problemu. Jak melanz to tylko u mnie. – Krzysztoforoworus podał mu rękę na pożegnanie. – Siemano!

– Siemano!

– Siema!

– Sie!

– Dobra, spadaj już, bo się znów cipozabryndza zrobi z tym progiem.

*

Ludzi znowu w chuj! Gdzie oni się hoduja? Klonuja się czy co?

To niemożliwe, żeby ich aż tylu było! Jakieś czary–mary! Tylko hokusa–pokusa tu brakuje!

W tym samym momencie zza rogu ulicy wyłonił się nie kto inny jak sam hokus–pokus we własnej magiczności! W świetli–stych aureolach, żonglując snami–koszmarami, pojawił się i zniknął między jednym a drugim mrugnięciem motyli powiek.

Potykając się, przepraszając, łokciując drogę naprzód, Neomandamian Antamantazczaszkitrzaski dotarł w bólach porodowych do domu. Bez zbędnych ceregieli rzucił się na łóżko. Szybkie, automatyczne rozładowanie się i niemal natychmiast zasnął.

*

Budzi się krzykiem ledwo poczętego noworodka. Nad nim wiszą niemowlęta, wstaje i wpada w martwe, krzyczące płody, sięgają mu do kostek – całe mieszkanie jest w płodach, wychodzi na korytarz, brnie przez morze płodów. Wychodzi z mieszkania i wpada do rwącej rzeki płodów, która płynie po schodach – wylewa się i wpada do ogromnego oceanu płodów – topi się – duszą go pępowiny i malutkie rączki, które wypływają z jego ust.

Budzi się ponownie i widzi jakieś obce osoby w pokoju. Zrywa się przerażony.

– Przepraszam, kim państwo są? Jak... – nie zdążył dokończyć, kiedy tamci pospiesznie wyszli z pokoju. Przetarł oczy.

– Kurwajebana, najpierw ten sen – mruknął – a teraz jeszcze jakieś poranne zwidy.

Zerknął na zegarek.

– Fakin shit! – zaklął.

Jeszcze nigdy nie był tak spóźniony! Szybko się ubrał, w kuchni napił się herbaty z zeszłego dnia, wrzucił do torby bułkę, jabłko i banana, i podbiegł do drzwi. Wskoczył w buty, zarzucił kurtkę i wybiegł na klatkę schodową. Zderzył się z sąsiadką.

– O, przepraszam – powiedział, zerkając na kobietę. Ta mu nie odpowiedziała. Zdziwił się, w ogóle jej nie poznał z twarzy.

„Nowa jakaś?” Nagle zauważył, że za jego plecami ciągnie się bezszelestnie sznurek ludzi, wędrujących po schodach z góry na dół. „A co ich tu tyłu? Z nocnej imprezy wracają? Pewnie byli u wielmożnych państwa Wieszczyceciubińskich, wiecznie imprezujących za pieniądze podatników.”

Zamknął drzwi. Wydawało mu się, że ktoś chodzi po jego mieszkaniu. Otworzył drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, ale tylko mu się zdawało. Zamknął, tym razem na klucz. Obrócił się i wpadł na mężczyznę.

– Przepraszam – wydukał.

Zero odpowiedzi. Wzruszył ramionami i włączył się w wir przechodzących osób.

*

W drodze na uczelnię autobusy i kolejki jak zwykle nabite były do ostatniego stojącego miejsca. Na uczelni tak samo. Coraz więcej ludzi, coraz więcej twarzy. Pełno studentów, ale i pełno studentek. Miłe uczucie: mimo jesieni za oknem, tutaj rzeczywiście tego kwiatu jest pół świata!

Nowi wykładowcy, nowe zajęcia. Nagle dowalili im tyle nowych przedmiotów. Nowe wizje, nowe przepisy. Im więcej ludzi, tym więcej poglądów i teorii. Można zgubić się w tym wszystkim.

Wygrzebał się, prawie że wyczołgał się z uczelni. Na chodnikach korki, na ulicach korki, w sklepach tłumy i jeszcze większe korki, transport publiczny trzeszczał w szwach. Zaraz to wszystko pęknie! – takie właśnie miał wrażenie, które wcale nie zapowiadało się wyłącznie na pozostanie wrażeniem. Rozdyma się i rozbucha. Para z ust buch, nogi jakoś w ruch, najpierw powoli, jak żółw ociężale, ruszyła ludzkość, ale po ludzku – ospale.

Wreszcie dowlókł się do domu. Na klatce schodowej jeszcze więcej ludzi.
– Nie dojdę dzisiaj do tego mieszkania – jęknął pod nosem.

Każdy stopień, każde piętro podwajało się, potrajało, zwielokrotniało. Sąsiedzi i ich goście, każdy chciał dokądś pójść. Kiedy wreszcie Neomandamian stanął późnym wieczorem przed drzwiami swojego mieszkania, marzył tylko o padnięciu na glebę – czyli na wyro – i zaśnięciu snem świętego.

Zamknął za sobą drzwi, zapalił światło w przedpokoju, który niespodziewanie zmienił się w poczekalnię na największym dworcu świata. Kim są ci ludzie? Dopiero teraz uświadomił sobie, że gdy tylko chciał spojrzeć komuś w twarz, ta osoba odwracała głowę, nie, nie odwracała jej, głowa zostawała w miejscu, to twarz uciekała. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy. Wszystkie twarze uciekały. Przerazało go to. Ale nie tylko to. Po kilku zdecydowanych próbach jednak znalazły się twarze, które nie uciekały, jakby zatrzymały się w miejscu, wciąż jednak podskórnie drżały.

Nie, nie drżały, nie drgały, nie podrygiwały, tylko nakładały się jedna na drugą. Kilka twarzy w miejscu jednej. I nagle to zobaczył... To! Ich! Zobaczył ich! Nie, to!

Co jest grane? Drżącymi rękoma wyjął komórkę i zrobił kilka fotek.

„To” przeszło obok i wmieszało się w całkiem spory tłum w pokoju gościnnym.

Zerknął na ekran komórki. Nie śniło mu się. Musi koniecznie pokazać zdjęcie Krzysztoforoworusowi.

*

Krzysztoforoworus Wrzeszczyzeszczykiewicz usłyszał dzwonek. Właśnie skończył jeść bułkę z masłem i musztardą. Podszedł do drzwi. Nigdy nie widział Neomandamiana Antamantazczasz-kitrzaskiego tak zziąjanego, zdyszanego, oblanego potem i ciężko zipiącego.

– Co jest? – Krzysztoforoworus zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

Wszystko w koledze dygotało.

– Nie... u... wie... – Neomandamian próbował uspokoić oddech.

Ledwo wydusił z siebie te trzy sylaby. Wiele cennych sekund minęło, zanim się w miarę uspokoił. – Nie uwierzysz.

– Chodź. Siadaj. Wszystko mi wytłumaczysz na spokojnie –

Krzysztoforoworus zagarnął go do pokoju gościnnego. Weszli i usadowili się wygodnie na równie wygodnej kanapie. Kiedy Neomandamian wreszcie się uspokoił, zaczął mówić – trochę chaotycznie ale w miarę treściwie.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie wiem, co się dzieje. W zasadzie...

– No, ale do rzeczy.

– Do rzeczy, to ostro mnie popierdoliło.

– No, ale konkret. Co się stało?

– Ja ci tego nie wytłumaczę. – Neomandamian sięgnął po komórkę. – Ale te zdjęcia mówią same za siebie.

Krzysztoforoworus spojrział na nie z zaciekawionym. Zdjęcia nie mówiły same za siebie, milczały, ale za to przedstawiały mieszkanie Neomandamiana pełne jakichś niewyraźnych postaci.

– Łapy mi drżały z przejęcia, dlatego fotki wyszły tak niewyraźnie.

– No, nieźle ci się rodzinka zwała.

– Rodzinka? Rodzinka? – Neomandamian wyszczerzył zęby w nieszczerym, kwaśnym uśmiechu. Coś tam jeszcze majstrował przy komórce. Nagle zadrżał.

– A to? – Pokazał Krzysztoforoworusowi zdjęcie przedstawiające jakąś wykręconą postać o twarzy złożonej jakby z dwóch nakładających się, zmorfowanych twarzy. Jego własnych twarzy.

– O, kurwazachuja! – krzyknął Krzysztoforoworus. – Jak to zrobiłeś? Niezły fotomontaż!

– Komórką? Fotomontaż? Te zdjęcia zrobiłem tuż przed wyjściem do ciebie.

Chwila ciszy. Krzysztoforoworus patrzył raz na ekran komórki, raz na kumpla, próbując rozszyfrować, co jest bardziej realne.

– I zostawiłeś ich tak wszystkich tam? – zapytał nieoczekiwanie.

– A co miałem zrobić? Nawet na klucz nie zamykałem.

– No to nieźle ci mieszkanie ogołocą.

– Kurawarakururwa! Ty nawet nie wiesz. Wracam z uczelni, wchodzę do chajzy, a tam mnóstwo osób wyłazi z łazienki. Jak gdyby nigdy nic. Ja w krzyk, a oni nic. Po prostu łażą tam, jak muchy. A co gorsza, jest ich coraz więcej.

– Nie czaję.

– Ja tym bardziej, mimo że na własne oczy widziałem.

Krzysztoforoworus już chciał zapytać o coś więcej, gdy nagle drzwi

wejściowe otworzyły się i do środka weszły trzy postacie, a za nimi sześć kolejnych i dziewięć następnych.

– Co jest? – zdębiałym głosem spytał Krzysztoforoworus.

– Przepraszam państwa. Co tu jest...?

– O, kurwozachujoza, widzę, że u ciebie też. Co tu się, stary, wyprawia?

*

Kiedy Neomandamian wrócił do domu, powitała go Karina, jak zwykle w bieliźnie mocno podkreślonej erotycznie.

– Napijesz się herbaty zielonej z nutą lazuruwą? – spytała go druga Karina, w takiej samej bieliźnie, z jeszcze mocniejszym akcentem erotycznym doprawionym chili i pieprzem, podkreślonym w ruchu ciała wynurzającego się z łona czerwonej, rozgrzanej do białości kuchni.

Filiżankę podała mu trzecia Karina; zapach jej rozpalonego ciała mieszał się z aromatyczną wonią herbaty, z której wynurzyła się czwarta Karina, tańcząca z piętą na wyspie z fusów.

Neomandamian minął kolejne Kariny dotykające go zalotnie i wszedł do swojego pokoju. Z rozrzuconych na podłodze zdjęć wylaniały się kolejne łona różowych, gotowych na jego przyście Karin. Z każdego zdjęcia i z każdej kopii wychodziły nowe Kariny, każda gotowa, by go pieścić, zadowalać, dogadzać mu. A on fantazjował w nieskończoność, w pętlę Moebiusa, w liczbę pi.

*

Wiadomości oszalały! Nawet telewizory się bały! Wszystkie media o tym trąbiły! Tubalne trąby głośników dały japy na cały regulator:

„OBWIESZCZENIE RZĄDOWE! ZE WZGLĘDU NA ZWIĘKSZAJĄCĄ SIĘ W ZASTRASZAJĄCYM TEMPIE DEMOGRAFICZNĄ LICZEBNOŚĆ POPULACJI, ZABRANIA SIĘ OBYWATELOM UŻYWANIA IMION I NAZWISK DŁUŻSZYCH NIŻ TRZY SYLABY! JEST TO JEDEN ZE SPOSOBÓW NA NAGŁĄCE ZAPOBIEGNIĘCIE PRZEŁĄDOWANIA I TAK JUŻ PRZEŁADOWANEGO PRZELUDNIENIA!”

Neomandamian Antamantazczaszkitrzaski przeklął w duchu.

No ale jak mus to mus. Tylko której części imienia czy nazwiska się pozbyć? Oby wszechobecny, wszędobylski rząd jak zwykle nie zdecydował za obywateli.

*

Neoman Zczaszkitrzask obudził się z potwornie wyjącem bólem tułowia. Brak lewego barku i lewej ręki dawał koszmarnie znać o sobie. Połączenia nerwowe leżały bezładnie na posadzce.

Neuryty i dendryty podrygiwały w ostatnich spazmach. „Urąbali mnie! No, sami mnie urąbali! Chujez kurwami im w dupę!”

Zległ się z wyra. Wszystko piekielnie bolało. Zatoczył się do telefonu. Po drugiej stronie słuchawki usłyszał jakiś chaotyczny bełkot.

– Krzysztoforoworus Wrzeszczyszczukiewicz? – spytał Neoman niepewnie.

– Czego?

– Tu Neomand... – w porę się powstrzymał i poprawił: – Neoman.

– Ciebie też urąbali?

– Jak psa.

– Nie pytaj, kurwachuja, o mnie. W ogóle nie mogę chodzić.

Poza tym jestem teraz Krzysztof Wrzeszczy.

– Ja Neoman Zczaszkitrzask.

– I wiesz co, jestem... w zasadzie nie wiem, kim jestem...

– A co ci zrobili?

– Chuja mi ujebali!

– No to grubo. Mi pojechali z lewą łapą. Całą. Łącznie z bar-kiem. Nie mogę, wiesz... nie mogę... no, wiesz...

– Możesz jeszcze prawą.

– No będę się musiał przerzucić.

– A ja już nie wiem co mam zrobić. Chyba sobie dildo kupię.

– Czyli masz jakąś alternatywę.

– Wpadnij do mnie, wyjdziemy na miasto, zobaczymy, jak inni się trzymają. Albo i nie...

*

Wyszli na ulicę. To, co zobaczyli, przerosło ich najśmielsze oczekiwania. Każdemu z napotkanych przechodniów czegoś brakowało. Zobaczyli ludzi bez kończyn, bez tułowi, bez głów. Rządowe regulacje, ustawy, paragrafy – i odcięty chuj Krzysztofa wie jeszcze co – były bezwzględne.

- Ty widzisz to co ja?
- Nie chcę tego widzieć.
- Ale musisz.
- No muszę.

*

Wrócili do siebie, każdy do swojej własnej nory. Krzysztof kupił po drodze największego sztucznego kutasa, jakiego znalazł.

Zresztą pani w sex-shopie okazała się prawdziwą sekspertką i to ona nakierowała go na właściwą drogę wśród niezliczonych korytarzy sex-shopu i jeszcze dalej, hen aż za horyzont nałogowych orgazmów i łańcuchowych szczytów, aż do samej półki pełnej przerośniętych przyjemności.

Neoman wrócił najszybciej jak mógł. Już na klatce się podniecił. Im wyżej wbiegał po schodach, tym energiczniej zaczął się spuszczać. Za zamkniętymi drzwiami zaspokoił się jeszcze kilka razy. „Nie mogę przestać się zaspokajać. Głowę mam pełną wijących się węży i węgorzy. A każdy w miejscu łba ma penisa, śliniącego się, śluzującego się, spuszczonego się na siebie nawzajem.”

Padł wycieńczony na łóżko. Nie mył się, nie dbał o to, chciał zasnąć, nabrać sił, żeby następnego dnia jak najwięcej razy móc się zaspokoić. Na zewnątrz przybywało ludzi. Coraz więcej też ludzi pojawiała się i byli coraz bardziej uszkodzeni.

Neomandamian rozmyślał, jeśli to chaotyczne gonienie myśli można było nazwać rozmyślaniem: „I co teraz? Nie mogę wypuścić tych monstrów. Za duży chaos.”

Znów się podpałił. Gorączka zbyt wielka, by móc się jej oprzeć.

Postanowił, że tym razem spróbuje czegoś innego. Użył prezerwatywy. W środku kotłowało się, pęczniało, olbrzymiało. Wylał nasienie do muszli klozetowej. W rurach natychmiast zawrzało.

W środku ścian, w szczelinach, w mrocznych, wilgotnych kątach buzowało. Wycieńczony organizm sam wymusił sen.

Śnił mu się koszmar. Stał na środku ulicy wraz z innymi ludźmi. Nikt się nie ruszał. Nawet rząd nie musiał więcej interweniować. Wszyscy i tak stali w miejscu. Unieruchomieni. Był taki ścisk, że nikt niczym nie mógł poruszyć. Nie odważyli się ruszyć nawet w myślach. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ktoś choć ziewnął. Właśnie wtedy nastąpiła część kulminacyjna koszmaru. Strach. Panika. Rozpacz. W końcu desperacja, by coś zrobić, przerwać marazm, inercję, przeciwstawić się... ale czemu?

Ścisk taki, że nie można ruszyć ręką.

Neo stał w samym epicentrum tego absurdalnego, gigantycznego, globalnego ludzkiego korka. Nie ruszała się żadna gałka oczna, nie drgała żadna powieka. Oddechy powoli zanikały, w końcu zastygły jak w betonowej mgle. Neo wiedział, że to już teraz. Nie było innego sposobu. To, co zamierzał zrobić, było jakimś wyjściem. Jedynym rozwiązaniem dla ludzi na całym świecie. Teraz. Już! Neo nie ruszył głową. On nią potrząsnął, szarpnął, wywołując efekt globalnego domina: gigantyczną, nieprzerwaną lawinę rozpryskiwanych głów, miażdżących się nawzajem i zlewających w siebie ciała, wytrąconych ze stanu stałego ładu i nadrealnego porządku. Wytrąceni z równowagi, wybici z balansu, wytrysnęli, eksplodowali, rozszczepili siebie i swoje okaleczone ciała.

Neo żył jeszcze, kiedy jego gałki oczne wytrysnęły z twarzy i pofrunęły daleko w niebyt wraz z miliardami innych par oczu i wizji bez przyszłości.

Neo Zczaszki, nieświadomy jeszcze, że już nie jest Neomanem Zczaszkitrzaskiem, obudził się. Oddychał ciężko, jakby go coś ścisnęło. Podniósł się na prawej ręce... której nie było! Padł na ryja.

„Kurwa! Ujebali mi drugą łapę! I jak ja teraz się zwałę? Dobrze, że chociaż nogi zaoszczędzili!”

Szukał czegoś na łóżku. Albo raczej czegoś w łóżku. Jest! Wymacał dziurę w materacu, wywierconą idealnie między dwoma rzędami sprężyn. Miał nosa, że ją kiedyś wywiercił. Nazwijcie to jak chcecie: przezorność, podniecenie, rozczarowanie, podniecenie, desperacja, podniecenie. Ważne, że teraz się przydało. W dziurę wetknął czerwoną, nabrzmiałą, wiecznie nienasyconą, napaloną, rozpaloną do granic niemożliwości i nieskończoności głowę. Tryskał, spuszczał się, sflajtował, skalibrowywał, bełtał, brajtał, zgalał, zgwintowywał. Walił siebie, w siebie i sobą na wszelkie możliwe sposoby i do wszelkich możliwych fantazji. Miliony, setki milionów, jeśli nie miliardów piraniowatych plemników wygryzły się z niego i wgryzły w świat,

zapładniając sobą kolejne byty, rodząc następne poronione zastępy bękarcich obywateli.

Coś musiał zjeść. Naładować baterie przed kolejną sesją samosiępsuszczalsko-zaspokajalską. Podniecały go ulice pełne ludzi, pełne twarzy, w których widział jedynie Karinę. Musiał wyjść.

Ledwie wyszedł. Ale gdzie tam wyszedł – wypchnął się z mieszkania! A potem te same, tyle że zwielokrotnione akcje z klatki schodowej. Przepchał się jakoś przez gęstniejący tłum. Na zewnątrz było jeszcze gorzej i gęściej. Wszyscy pojawiali się znikąd, ot tak, po prostu. Twarze zagęszczały się wraz z każdą upływającą w gęstwie czasu chwilą. Autobusy zatrzymywały się w gigantyczniejących z każdą sekundą korkach. Przybywało ludzi, klonów, bękartów, kopii, cieni. Niekończące się fale nowo przybywających. Jakim cudem Neo dostał się do centrum, tego nikt nie wie.

Ale właśnie tam się dostał i dokładnie tam utkwiał. Na dobre.

„Sytuacja prosto z mojego snu. Koszmaru. Snu. Koszmaru. Jak to się wszystko skończy? Czy tak jak w moim śnie? Koszmarze?”

„Śnie? Koszmarze?”

Ludzie gęstnieli jak w galarecie. Galareta powoli przekształciła się w beton. W pewnym momencie wszyscy po prostu stanęli w miejscu. Nikt się nie poruszał. Bezruch. Inercja. „A jeśli nikt się więcej nie ruszy? Jeśli utkwimy tak na zawsze? Na wieki? Na wiekiistość? Wciśnięci w siebie?”

Miał już jakąś zajawkę zaręczoną z halunkiem. „Trzeba to skończyć! Zakończyć natychmiast! Już! Ale jak? Czy wystarczy ruszyć głową jak we śnie? W koszmarze? Czym jest ta rzeczywistość? Czym jest nasz mózg? Czy rzeczywiście ma moc sprawczą?”

Myśleć. Nie myśleć. Nie istnieć. Tkwić w bezruchu. W apatii.

A może... poświęcić się?”

Myśli jak sekatory odrabują nas fragment po fragmencie, aż zabraknie nas w wieloaspektowości, pozostawiając jedynie wszystko to, co czarne na białym. „Mam się poświęcić? Ale w imię czego? W imię jakiejś Kariny? Jakiejś kobiety? Jakiejś idei? Mrzonki?”

Gdzie ona jest teraz? Czy tkwi gdzieś, wciśnięta w kogoś? Czy ktoś ją ściska? Maca? Obejmuje? A może już nie żyje? Zgnieciona miliardami równie spanikowanych jak ona ludzi.”

Neo bał się zamknąć oczy, bał się ruszyć powiekami, dokładnie jak we śnie.

„Myśl. Zrób coś. Coś. C.O.Ś. Tak.”

Neo pozbył się części siebie, części dziedzictwa zakodowanej w nazwisku. Jakby ktoś przeciął go na pół. Pozbywszy się połówki, mógł wreszcie poruszyć gałką oczną. To za mało. Ofiara musi być większa. Ne zrezygnował więc z dalsz

Połowa czaszki wraz z połówką mózgu oderwała się od niego.

Nie mógł wreszcie ruszyć tułowiem. Trochę więcej luzu. Mimo że nie wiedział już, co robi, po co to robi, zachował jeszcze resztki świadomości, te odłamki celu, który chciał osiągnąć. Fragmentem zachowanej jaźni pozbył się resztki siebie.

Zrobiło się miejsce. Ludzie mogli zacząć się przemieszczać o jedno pole, w parodii roszady, jeden człowiek na jeden raz, jak ograniczone do jednego ruchu figury na niekończącej się szachownicy. Ruszali się powoli, bardzo powoli. Jednorazowo. Każdorazowo. Może w ten sposób im się uda i ludzkość dojdzie do czegoś sensownego?

Wyciągnięci

Ponieważ nie mogę znaleźć żadnej dziury – albo wszystkie zapchane, albo zbyt wąskie, prawie niewidoczne, a pedofilem nie A jestem – postanowiłem zrobić dziurę w sobie. Mogłem oczywiście poszerzyć już istniejące we mnie otwory, ale to nie to samo.

Zacząłem od członka w zwodzie. Paznokciem porozcinałem co nieco, rozchyliłem, zmusiłem do posłuszeństwa, wydrążyłem głęboką studnię, coraz szerszą, przepastniejszą, w którą bez problemu wskoczyłem ku spełnieniu.

Nagle natrafiłem na opór. Ktoś był w środku. Zagłębiłem się głębiej i wycisnąłem... drugiego siebie, z którego wnętrza wyciskałem się dalszym sobą, krzyczącym uzewnętrznieniem mnie samego.

Objąłem się i mocno ścisnąłem, wyciskając kolejnych siebie, a po nich następnych...



Krzysztof Maciejewski

Lokalizacja: Sulejówek

Styl bizarro: groteska, surrealizm, ogólnie przerażający (głównie stylem)

Publikacje: *NF*, *Magazyn Fantastyczny*, *SF&F*, *Gildia Horroru*, „City 1 - Antologia polskich opowiadań grozy”.

Opis: człowiek starej daty, ale pod dobrą datą. Dziennikarz, recenzent, pisarz. Ojciec bliźniąt, mąż żony, ładowarka elektrostatyczna dwóch kotów. Posiadacz niezliczonych regałów z książkami.

Ale przede wszystkim mistrz świata w wielu kategoriach.

Wpływy: – Borges, Calvino, Silverberg, Lem, Martin, King, Masterton, Lynch David, Tarantino, Murakami, Somoza, Lodge, McEwan, Swift Graham, Sapkowski, Sheckley, Northern Exposure, Knopfler, Kafka, Dorma, Kojima, wujek Staszek, Kay, Gemmell, ciotka Klotka, znajomi, znajomi znajomych.

Śmierząca inwazja

Czerwień zalatywała jak bezdomny w trzydziestostopniowym upale, błękit wydzielał odrażające wonie zgniłej trawy, a róż cuchnął zepsutym mięsem. Zapewne zapytacie o zapach fuksji.

A co to, kurwa, jest fuksja?

Od szczeniaka nosimy w sobie wyobrażenia kosmitów – my mieszkańcy tej planety leżącej na zadupiu Wszechświata. Dzieci ery kina i telewizji, nałogowi pochłaniacze filmów Spielberga i Seagala, czytacze komiksów i literatury spod znaku SF, perły Stworzenia z gigantycznymi mózgami pofałdowanymi jak wygnieciony papierek po cukierku. Sami geniusze, tytani intelektu na galaktyczną skalę. Tylko czemu nikt nie spodziewał się inwazji Dupostworów?

Dobra, alieni mieli być humanoidalnymi postaciami o wydłużonych kończynach lub potworami przegryzającymi się przez warstwy mięśni skośnych i prostych aż do pępka. Któż mógł przewidzieć, że w ich odległym świecie ewolucja wyprodukuje istotę w kształcie tłustych pośladków, która porozumiewa się za pomocą pierdnięć? I że te pierdnięcia będą materializować się w widzialnym spektrum widma?

Znalazłem się w ekskluzywnej gromadce szczęśliwców, którym było dane uczestniczyć w pierwszym kontakcie. Piliśmy sobie nasze poranne winko w ulubionym lasku na obrzeżach wielkiej metropolii, czyli w podwarszawskiej Wesolej. To był codzienny rytuał, chyba że akurat nie udało się ubłagać sklepowej, by znów wpisała płynne zakupy do swojego zeszytu. W takich przypadkach aż do godzin wieczornych byliśmy straceni dla społeczeństwa.

Tylko niech nikt nie myśli, że stanowiliśmy jakąś żulerską bandę alkoholików. Wiem, że pozory świadczyły przeciwko nam, lecz tworzyliśmy raczej zgromadzenie filozofów–amatorów, samozwańców, wioskowych mędrców. Gdyby tylko ktoś dostał szansę choć przez kilka minut przysłuchiwać się naszemu dyskursowi, z pewnością wyciągnąłby właściwe wnioski.

Ironia losu naprawdę istnieje. Tamtego dnia debatowaliśmy nad najpaskudniejszymi zapachami, jakich mieliśmy okazję doświadczyć. Organoleptycznie, rzecz jasna, bo wtedy jeszcze nie śniły nam się barwy

zapachów, nieodgadnione wonie myśli ani numeryczne sieci utkane z przekleństw i latających wibratorów. Ale nie uprzedzajmy wydarzeń...

Zdzisia nazywamy Profesorem, bo kiedyś przez dwa lata studio-wał na Polibudzie. Tenże Zdzisio z dużą pogardą na twarzy wysłuchiwał naszych wyliczanek. Zgniłe mięso, odór martwego ciała, pleśń na popsutych pomidorach, uryna, kał, wymioty – prześcigaliśmy się w wymienianiu najstraszniejszych, naszym zdaniem, fetorów. Gdy umilkliśmy, popatrzył na nas protekcjonalnie.

– Izonitryle – rzucił. – Wystarczy jedno zachłyśnięcie się tym zapachem i rzygasz jak kot.

– A smród skunksa? – dopytywał się zaciekawiony Maniek.

– Owszem, nie należy do najprzyjemniejszych aromatów – zgodził się Profesor. – Ale są mimo wszystko na świecie koneserzy tego swądu, którzy traktują go niczym najpowabniejsze perfumy.

Izonitryle nie mają takich amatorów.

Zdzisio zamierzał chyba wytłumaczyć nam szczegółowo budowę cząsteczkową tych związków chemicznych, ale właśnie w tym momencie tuż obok wylądował latający talerz.

Wyglądał... jak latający talerz – cóż za odkrywczosc myśli i metafory. Wprawdzie nie towarzyszyły mu fruwające sztucce, ale nic nie jest doskonałe. Zresztą, mieliśmy już nieźle w czubie, sytuacja więc nas nie przerosła i przyjęliśmy ją ze spokojem grabarzy. Przynajmniej do momentu, w którym z kosmicznego pojazdu wysiadło dwóch Obcych.

*

Potoczna nazwa, jaką dziennikarze na całym świecie ochrzci-li kosmicznych najeźdźców, nie wzięła się znikąd. Wyglądali jak wielkie oślizgłe dupy, ociekające tajemniczym śluzem. Nie widać było żadnych narządów zmysłów, więc zapewne kryły się w rowie między pośladkami. Prezentowało się to groteskowo, toteż nasza menelska kompania przez dłuższą chwilę tylko rozdziawiała paszcze i wytrzeszczała oczy, w milczeniu kontemplując widok. Ponieważ to ja trzymałem butelkę, podniosłem ją do ust, bo na trzeźwo nie dało się na to patrzeć. I wtedy jeden z obcych zareagował. Usłyszeliśmy przeciągły grzmot dobywający się z trzewi istoty i w tym samym momencie nastąpiły jeszcze dwie inne rzeczy. Uderzyła nas

fala niewiarygodnego smrodu zgnilizny, a cały świat wokół zrobił się na moment różowy. Jakbyśmy zaczęli patrzeć na wszystko przez filtr kolorystyczny. Z wrażenia upuściłem flaszkę ze szlachetnym winem owocowym, a ta roz-trzaskała się o ziemię.

Nieźle, się, kurwa, zaczyna – przemknęło mi przez myśl.

– Co się dzieje?! – wrzasnął Zdzisio.

– Sam chciałbym wiedzieć – odrzekłem.

Maniek, Franiu i Wilku wciąż milczeli. Podobnie jak dwa dupokształtne stworzenia, zdające się z uwagą i wyczekiwaniem śledzić nasze reakcje. Chyba nie postępowaliśmy zgodnie z ich wzorcem zachowań, bo w pewnym momencie druga z istot potężnie pierdnęła. Tym razem poczuliśmy woń psujących się odpadków i zestarzałego potu, a przed oczyma wszystko nam poczerwieniało.

Profesor nagle zaczął zapamiętane kiwać głową.

– One próbują się z nami porozumieć – wyjaśnił.

Wilku uśmiechnął się krzywo.

– Ale chyba zabierają się do tego od dupy strony – zauważył.

Nie sposób było zaprzeczyć tej błyskotliwej konkluzji. A jednak Zdzisio spróbował.

– To wyłącznie związek frazeologiczny, związany z analnym stanem świadomości. Trzeba przyjąć, że inne kultury mogą rozwijać się całkiem niezależnie od naszych odbytniczych asocjacji.

– Nie kumam, o czym do mnie rozmawiasz – przerwał mu Maniek.

– Właśnie! – dodałem. – Przecież to są dwie dupy na kaczych nogach!

– Ale zrozumcie... Tylko w ziemskiej cywilizacji dupa spełnia rolę uniwersalnego wzorca porównawczego – zaczął Profesor, lecz w tej samej chwili przybysze odezwali się w znany już nam sposób – tym razem unisono. Poczuliśmy niewyobrażalny wręcz odór, Zdzisio zdążył tylko szepnąć: „Izonitryle...”, a potem wszystko pociemniało.

*

Obudziliśmy się wszyscy jakiś czas później. Co za straszliwa delirka! Przecież to, co się nam przydarzyło, zakrawało na zbiorową halucynację, więc nie mogło dziać się naprawdę. Rozeszliśmy się do swoich domów. Pewnie każdy z nas włączył telewizję i zobaczył, że tymczasem na

wszystkich kanałach aż huczało od doniesień o kosmicznych gościach. Więc to jednak musiała być prawda!

Dupostwory wylądowały w kilkunastu miejscach naszego globu. Rzecz jasna wszędzie usiłowały przekazywać swoje zapachowo–kolory styczne przesłanie, prawdopodobnie z identycznym skutkiem, jak w naszym przypadku. No, może nie unicestwiały za każdym razem jabola...

Eksperci prześcigali się w wyjaśnieniach, chociaż żaden z nich nie pokusił się o równie głębokie potraktowanie tematu, co nasz Profesor. Nikt nie wspominał o „cywilizacji analnej” ani o „wzorcach porównawczych”. Jakiś specjalista, którego wypowiedź powtarzano później we wszystkich programach, deliberował natomiast o drganiach otworu odbytu, prędkości parcia gazów oraz napięciu mięśni zwieracza. Można powiedzieć, że gadające głowy rozprawiały o tym, co zawsze, czyli o... dupie Maryni.

Znamienne było, że wszystkie latające talerze zniknęły zupełnie tak samo, jak się pojawiły. Mieliliśmy jednak przeczucie, że to dopiero początek. I nie myliliśmy się.

*

Inwazja zaczęła się od narastającego smrodu myśli. Początkowo określone idee manifestowały się lekką nutką zapachową, niemalże niewyczuwalną nawet w pomieszczeniach zamkniętych. Stopniowo jednak doznania węchowe nasilały się, aż po *crescendo* zatykające dech w piersi. Czy towarzyszyły im barwne efekty? Ani chybi!

Z zapachami jest jak z truciznami. Najstraszniejsze nawet toksyny w małej dawce mogą odgrywać leczniczą, czy wręcz zbawienną rolę. Działa to w obie strony – więc magiczne wonie perfum w stukrotnym natężeniu zamieniają się w sztynk nie do opisanego, istną kakofonię fetoru. Zdzisio posuwa się nawet do stwierdzenia, że fekalia i uryna w niewielkim stężeniu bardzo przypominają zapachem wodę toaletową *Christian Dior Dioressence*.

Statki kosmiczne Dupostworów krążyły tymczasem nad Ziemią, doskonale widoczne dla radarów. My zaś dosłownie dusiliśmy się od nadmiaru myślenia. Coś trzeba było w tej sprawie przedsięwziąć. Najprostsze rozwiązania, takie jak powstrzymanie się od umysłowego wysiłku, na niewiele się zdały. Chociaż z pewnością niektórzy Ziemianie mogli czuć się stosunkowo bezpiecznie. George Carlin namawiał kiedyś, by zwrócić uwagę,

jak ograniczony jest przeciętny człowiek, skąd już krótka droga do niezbyt krzepiącego wniosku, że statystycznie połowa ludzkości jest jeszcze głupsza od osobnika stanowiącego ową medianę.

W rzeczy samej – naukowcy zaczęli intensywnie pracować nad bronią, która byłaby w stanie wyeliminować cuchnące zagrożenie.

Żaden konwencjonalny oręż nie mógł sprostać zaawansowanym technologiom Dupostworów. Broń bliskiego rażenia nie wchodziła w grę – nie tylko ze względu na miazmaty otaczające statki przybyszów, ale również i konsekwencje mentalne ewentualnego starcia. Ludzkość szybko przekonała się, że maski gazowe nie powstrzymują omdlewających wyziewów naszych własnych myśli.

Próby wykorzystania broni dalekiego rażenia także nie zdały egzaminu. Kosmici przez cały czas monitorowali przestrzeń wokół swoich pojazdów, otoczonych rodzajem pola siłowego. Ludzkość znalazła się zatem, wybaczenie kalambur, „w ciemnej dupie”.

I pewnie wciąż byśmy tam tkwili, gdyby nie Zdzisio.

*

Podczas jednego z kolejnych posiedzeń klubu filozofów–amatorów milczenie Profesora wydawało się wypełniać ciszą całe otoczenie. Nawet ptaszki, zazwyczaj beztriosko świergolące na oko-licznych sosnach, ucichły pod ciężarem tej niemej sceny. Zapewne Zdzisio cierpiał właśnie węchowate katusze, gdyż zdawał się całkowicie pogrążony w rozmyślaniach. Podawaliśmy sobie butelkę „Wiśniowego sadu” (trzeba się odchamiać i wchłaniać wielkie dzieła literatury). W pewnym momencie oczy Profesora rozbłysły.

– Wiem, jak walczyć z Dupostworami! – omiół nas ożywionym spojrzeniem.

Popatrzyliśmy na niego.

– Niby jak? – zagadnąłem.

– Sieci numeryczne utworzone z przekleństw i latających vibratorów – obwieścił triumfalnie.

Tak... Nie brzmiało to niestety zbyt przekonująco.

– Możesz nam to nieco przybliżyć? – zawahał się Wilku.

Zdzisio uśmiechnął się do niego.

– To element modelowania systemu. Nie będę wchodził w szczegóły, bo gdy za dużo o tym myślę, prawie mnie zatyka zapach psujących się wodorostów...

A jednak trochę nam wytłumaczył. Jego zdaniem, cybernetyczna teoria systemów zakłada, że każdy system istnieje niejako poprzez współdziałanie z innymi systemami, będącymi dla niego anturazem. Wymianie z otoczeniem podlegają nie tylko elementy materialne, energetyczne i informacyjne, ale także zapachowe. To, co działo się od kilkunastu dni, jednoznacznie potwierdziło tę teorię.

Sieci numeryczne miały służyć stworzeniu pewnego układu logicznego, który wychwytywał określone różnice pomiędzy systemami.

– Ale skąd te przekleństwa i wibratory? – Frania chyba najbardziej nurtowało praktyczne zastosowanie pomysłu Profesora.

– A pamiętasz, co mówiłem kiedyś o cywilizacjach analnych i nieanalnych?

Franiu pokiwał głową.

– Chodzi o to, żeby użyć takiego modelu, którego nie będą w stanie odkodować Dupostwory. Jeżeli sam wyglądasz jak tłusty tyłek, to nie nazwiesz nikogo dupkiem, prawda?

Nadal nie czailiśmy, o co mu chodziło.

– Dupostwór nie powie nigdy: „Mam to w dupie!”, abstrahując, rzecz jasna, od języka, jakim się posługuje.

– Ale „dupa” to nie przekleństwo! – nie wytrzymał Maniek.

– To słowo znają nawet dzieci w piaskownicy!

Zdzisio pokręcił głową, udając zniecierpliwionego naszym brakiem rozumienia najprostszycch prawd.

– To tylko wygodny przykład. Jeżeli oni nie mają analnego stosunku do otaczającej ich rzeczywistości, to nie pojmą również zwykłych wulgaryzmów. A te wibratory to właśnie taki wabik...

I wtedy dopiero to do nas dotarło. Fortel był banalnie prosty, aczkolwiek bez „Wiśniowego Sadu” raczej byśmy na niego nie wpadli. Chodziło o uszczegółowienie elementów aktywnych – czyli w tym przypadku latających wibratorów – za pomocą konkretnych znaczników pasywnych, a więc odpowiednio do-branych obelg. Nie mieliśmy wprawdzie pojęcia, w jaki sposób owego uszczegółowienia dokonać, ale nad tym mogły już popracować mózgi tęższe od naszych.

Spojrzeliliśmy w niebo. Gdzieś tam unosiły się niewidoczne dla nas pojazdy Dupostworów. Prawie równocześnie wykrzyknęliśmy w ich stronę inwektywę o wybitnie analnym charakterze...

*

Najtrudniejszym zadaniem było dotarcie do osób odpowiedzialnych za decyzje najwyższego szczebla. Na szczęście był z nami Wilku, który kiedyś chodził do jednej klasy z obecnym prezydentem i miał go nawet w gronie znajomych na Facebooku.

Umówienie spotkania nie nastąpiło większych problemów, chociaż głowa państwa nie zgodziła się na przyjazd do naszego lasu. Dlatego spotkaliśmy się w dworcowym barze. Prezydent miał na sobie blond-perukę i długą suknię, gdyż nie mógł sobie pozwolić na bycie rozpoznanym. Później Wilku zdradził nam, że jego kolega już w liceum uwielbiał podobne przebieranki.

Zdzisio wyłuszczył swoją teorię przekleństw, wręczył szacownemu gościowi materiały informacyjne i dysk DVD z prezentacjami, a na koniec wyraził nadzieję, że rząd jak najszybciej rozpocznie działania ofensywne. Prezydent serdecznie podziękował za spotkanie i szybko wyszedł, by nie przyciągać uwagi paparazzich.

Popatrzyliśmy po sobie. Maniek wyraził chyba najdobitniej przemyślenia każdego z obecnych.

– Mógł przynajmniej zgolić wąsy...

*

Niebawem lotnictwo wojenne NATO i Rosji zaczęło rozmieszczać w strategicznych miejscach sieci numeryczne. Stada wibratorów krążyły nad światem, przyzywając Dupostwory swoim klangorem. Muszę przyznać, że na zdjęciach i filmach prezentowały się nader malowniczo. Wyszkoleni żołnierze ustawiali się na apelach nienawiści i gromko, po żołniersku, wysyłali w eter wiązanki najokropniejszych przekleństw. Po niebie latały więc nie tylko wibratory, ale także kurwy, skurwysyny, skurwiele, chuje i cała reszta doborowego towarzystwa. I w końcu strategia zaczęła przynosić zamierzone efekty. Latające talerze Dupostworów zbliżały się do sieci,

próbując ścigać wibratory, które umykały przed nimi, drwiąco wibrując, a w odpowiednim momencie wydawały z siebie okrzyki zwycięstwa. Wojna skończyła się równie szybko, jak wybuchła. Ludzkość została uratowana. A przynajmniej wtedy tak sądziliśmy...

*

Nieprzyjemny zapaszek myśli stopniowo się ulatniał. Nasz prezydent był przyjmowany przez światowych przywódców (jednak na te spotkania przybywał w garniturze), Zdzisio dostał swój program w telewizji WYTRWAM, a my przymierzaliśmy się powoli do ról celebrytów. Ale wtedy właśnie obudziliśmy się, by stwierdzić, że otacza nas koszmar. Ludzie powoli tracili węch.

Okazało się, że ze świata znikają zapachy. Wkrótce potem ten sam los czekał kolory. A gdy nie odczuwasz zapachów i nie dostrzegasz kolorów, dezintegracji ulegają również smak i dotyk.

„Wiśniowy sad” przestał nas kusić kwiatowym bukietem z delikatną nutą cytrusów i jabłek. Już wtedy Zdzisio wiedział, że jesteśmy skazani na zagładę...

*

Znów siedzimy w naszym ukochanym lasku, który dawno utracił ostatnie barwy jesieni. Pijemy alkohol, bardziej z nawyku, aniżeli dla smakowych doznań. Jak zwykle rozmawiamy o filozoficznych aspektach życia, lecz nasze dywagacje utraciły wszelką oryginalność, jakby bezwonne myśli nie były w stanie unieść ciężaru konwersacji. Wilku jako pierwszy zauważa znika-nie bieli i wiemy już, że za chwilę pogrąży się w ciemnościach.

Kładzie się więc na szarej trawie i przymyka oczy. Pół godziny później leżymy obok niego wszyscy... Mój ostatni świadomy impuls myślowy dotyczy życia po śmierci i tunelu otwierającego się nagle przed oczami. Mam nadzieję, że zaświaty są kolorowe i śmierdzące.

Sulejówek, czerwiec 2011

Rycerz marnotrawny

Złe czasy nastały w Krainie. Ostatnia wróżka legła przeszyta ostrzem miecza Rycerza Nie Odróżniającego Dobra Od Zła.

Wszystkie leśne driady wpadły w sidła kłusowników i kłamców.

Była jednak nadzieja. Bo ta suka umiera ostatnia.

*

Ptaki umilkły, słysząc tętent końskich kopyt. Drzewa zastygły na moment, nie zważając na szarpiące dłonie wiatru.

Po chwili leśny ludek już wiedział – oto powraca z wygnania Rycerz O Łagodnym Spojrzeniu (w skrócie ROŁS). Nie minęło wiele chwil, nim radosna wieść dotarła do Czarnego Lorda.

– Jakim cudem przedarł się przez Mroczne Zaslony? – krzyczał zły władca, a przerażeni dworzanie chowali się po kątach przed jego gniewem.

– Nie wiemy, Wasza Lordowska Mość – dowódca gwardii kulił się przed spodziewanym ciosem.

– Natychmiast zgładzić tego ROŁS-a – krzyczał Czarny Lord.

Świece w komnacie zgasły.

Ciekawe, dokąd odchodzą zdmuchnięte płomyki świec... Pewnie pochłania je jakaś wielka, czarna dupa... – pomyślał dowódca gwardii wybiegając na dziedziniec. Czegoż w końcu żądać od żołdaka?

*

Tymczasem były banita zatrzymał się na popas.

Trawa w ojczyźnie smakuje zupełnie inaczej, niż na wygnaniu – pomyślał. Trawa była tego samego zdania.

Nagle usłyszał dziwny dźwięk, który zmroził krew w każdym ukrwionym członku jego ciała (naprawdę w każdym).

Był otoczony przez oddziały gwardii Czarnego Lorda.

Siepacze błysnęli obnażonymi mieczami. Po chwili padli ścięci serią z automatu.

– Zaprawdę, powiadam wam: patrzcie łagodnie, ale zawsze miejcie pod

ręką kałasza!!! – krzyknął w korony drzew.

Po odbyciu zwyczajowego stosunku z ciałami zabitych (nieszczęśni gwardziści odegrali w nim rolę ewidentnie pasywną), odjechał w kierunku Mrocznej Twierdzy.

Tylko ptaki zaświergotały coś w odpowiedzi, lecz właśnie zaczynał się ich ulubiony serial, więc popęzły w kierunku telewizorów.

*

Ich spotkanie było zapisane w gwiazdach (a może – uściślając – na powierzchni nieba są po prostu wolne miejsca, których drukarze używają do przesyłania między sobą wiadomości – poniekąd taki jest źródłosłów słowa „spacja”). Czarny Lord spoglądał z góry na Rycerza O Łagodnym Spojrzeniu.

– Przybyłeś mnie zabić i przywrócić pokój tej krainie. To ci się nigdy nie uda! – krzyknął.

ROŁS spojrział na niego zaskoczony.

– Ależ skąd ci przyszedł do głowy ten niedorzeczny pomysł, o Panie? – spytał, schylając głowę przed Lordem. – Po prostu usłyszałem, że służąc ci przestanę być ROŁS–em. Już mnie znużyła ta rola...

Mroczny władca był zdezorientowany.

– Jak to?

– Przez te cholerne niebieskie oczy autorzy obsadzają mnie zawsze w rolach pozytywnych bohaterów. Mam już dość takiego życia. Chcę zerwać z etosem. A mówiąc zrozumiałym dla ciebie językiem: pierdołę to... – na chwilę spojrzenie ROŁS–a przestało być łagodne.

Mroczny ciemiężyciel uciśnionych nadal nie był przekonany.

– To na pewno jakiś podstęp...

Wtedy ROŁS dobył sztylet i wykłuł sobie oczy. W ten sposób przestał być ROŁS–em.

Czarny Lord uśmiechnął się.

– Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do mojej ulubionej komnaty.

Szkoda, że nie zobaczysz najnowszych zabawek, które kazałem sprowadzić w tym tygodniu, ale przynajmniej usłyszysz ich krzyki – powiedział, śmiejąc się zachęcająco.

– Czuję, że to początek pięknej przyjaźni – odrzekł ślepy rycerz, machając

rękoma.

A potem obaj zeszli do lochów.

Rycerz z wytraconym mieczem

To było dość irytujące – po wszystkich pojedynkach z pijanymi gwardzistami z Miasta Popiołów, po przebyciu labiryntu oświetlonego magicznym blaskiem kandelabrow, które bardziej pasowały do sali balowej zamku, wreszcie po pokonaniu pełnego ożywionych trupów korytarza, Vale Mocarny natknął się na ścianę.

Nie był to jednak tylko lity mur, stojący mu na drodze. Vale czuł bowiem pustkę. Rozpościerała się przed nim otchłań konfuzji, stracił z oczu cel swojej misji, a jasna przyszłość, którą jeszcze przed chwilą widział jak na dłoni, nagle zniknęła, zdmuchnięta niczym sen złoty... W umyśle Vale'a majaczyła wprawdzie nie śmiało wizja pięknej księżniczki w opresji, bez ustanku czekającej na jego miecz (miał na myśli właśnie miecz), gdzieś tam czaiło się również wyobrazenie złego smoka, z którym powinien niebawem walczyć, albo którego miał pokonać w snookera, ale te obrazy szybko traciły ostrość i jednoznaczność, zmieniając się w mirażę dręczące kogoś innego...

Vale wypakował z worka kryształową kulę, chcąc naradzić się z przyjaznym czarodziejem Tukiem. Tylko on mógł znaleźć wyjście z tych tarapatów. Rycerz trochę się zawahał, gdyż mgliście pamiętał, że to właśnie Tuk wpędził go w aktualne opaty, ale po namyśle potarł magiczny przedmiot flanelową ścierką, także wyciągniętą z worka. Szklana sfera rozbłysła w mroku korytarza, a oblicze Tuka, które wyłoniło się z zakłóceń, wcale nie było przyjazne.

– O co chodzi? Właśnie oglądałem sobie spektakl...

Vale natychmiast przywołał wspomnienie półnagich tancerek, które często gościły na deskach ulubionego teatru Tuka.

– Mam problem. Zabiłem złych zombie w sieni. Nie wiem, co dalej

czynić... – rzekł nieśmiało.

– W takim razie potrzebujesz psychoanalityka, a nie czarodzieja – warknął Tuk.

– Kogo? – Vale był nieco zdezorientowany.

– Nieważne... Czego ode mnie oczekujesz?

Vale w krótkich słowach wyłuszczył Tukowi przebieg swych perypetii. Miał spory kłopot z wytłumaczeniem czarodziejowi, na czym polega natura gnębiącej go niepewności. Okazało się bowiem, że Tuk jest równie zagubiony.

– To bardzo niespotykane... Przecież osobiście wysyłałem cię z tą misją do Miasta Popiołów, a teraz nie pamiętam nawet, po co to uczyniłem. Sprawa jest poważniejsza, niż sądziłem. Daj mi trochę czasu. Muszę zajrzeć do swojej biblioteki...

Vale miał mnóstwo czasu. Dziwna sprawa, ale wcale nie czuł się głodny. Jeszcze dziwniejsze było jednak to, że zaczął obsesyjnie myśleć o lamach.

*

Magiczna kula znów zajaśniała w mroku podziemnych lochów.

Twarz czarodzieja miała bardzo osobliwy wyraz.

– I co? Wiesz już, co się stało? – dopytywał się niecierpliwie Vale.

– To proste. Nie istniejesz.

– Co ty wygadujesz? – zdenerwował się rycerz.

– Nie martw się. Mnie też nie ma.

– Możesz mówić trochę jaśniej?

Tuk spojrzał na przyjaciela z ukosa.

– Jesteśmy fantomami. Bohaterami cyklu książek fantasy. Ich autor po napisaniu siedemnastego tomu postanowił zrobić sobie wakacje. Brak weny, nuda. Chuj wie, co jeszcze mogło być powodem.

– Nic a nic nie rozumiem!!!

– Przecież tłumaczę... Facet skończył pisać kolejną część swojego cyklu i pozostawił bohaterów w zawieszeniu. Dopóki nie dopisze dalszego ciągu, dopóty będziesz sterczał pod tą ścianą...

Vale zacisnął zęby.

– Ale chyba możesz coś z tym zrobić?

Czarodziej uśmiechnął się pod nosem.

– Mam pewien pomysł... Wyślę cię do świata równoległego, a ty porozmawiasz tam, z kim trzeba, żeby jakoś rozwikłać ten dylemat.

– Ale... Czy to bezpieczne? – zawahał się Vale.

Tuk skrzywił swoją pomarszczoną twarz, przez co prawie wy-płynęła z kryształowej kuli.

– Czym ty się przejmujesz, człowieku? – zapytał. – Przecież ciebie, kurwa, nie ma.

*

Vale rozglądał się ze strachem. Znajdował się w jakichś kazamatach, a wokół niego kłębił się tłum dziwnie odzianych ludzi.

Z góry dobiegały ochryple dźwięki, z pewnością wydawane przez jakiegoś demona. Otaczający go ludzie spieszyli się gdzieś i żaden z nich nie zwracał na niego uwagi. Nagle oczom Vale'a ukazała się mała biblioteka – w prostokątnej chacie zbudowanej z tajemniczego materiału oświetlały ją fantazyjne przedmioty zawieszane pod stropem. Podszedł bliżej. Stojący w środku ludzie byli równie ekstrawagancko ubrani, jak wszyscy inni wokół. Vale dostrzegł mnóstwo ksiąg leżących na czymś w rodzaju kontuaru.

– Ech, przepraszam...

Mieszkaniec chatki spojrział na rycerza z zainteresowaniem.

– Czym mogę służyć? Swoją drogą, zajebisty strój!!! Wybiera się pan na bal maskowy?

– Na bal? Nie... rozumiem. Czy masz ziomku jakąś księgę o przygodach Vale'a Mocarnego?

– Pewnie, że tak!!! Wszystkich siedemnaście tomów!!! Podać?

Vale przełknął ślinę.

– A co z kolejnymi tomami?

Mężczyzna za szynkwasem wzruszył ramionami.

– Nie będzie kolejnych... Autor porzucił pisanie.

– Jak to porzucił?

Rozmówca lekko się zafrasował, widząc jaki efekt wywołały jego słowa.

– Normalnie, wziął się za uczciwą pracę. Może dam panu coś innego? Wyszedł właśnie nowy Sapkowski...

Ale Vale ruszył już w dół korytarza.

Niespodziewanie podszedł do niego brudny, nie golący się chyba od

dekady starzec.

– Daj pan na chlebek... – zamruczał pod nosem.

Vale w rozpaczy sięgnął po miecz.

– Odejdź, demonie!!! – krzyknął.

– Tylko parę groszy dla bezdomnego... – ciągnął niezmordowanie żebrak.

Rycerz wziął zamach i zaraz po posadzce potoczyła się głowa natręta.

Nagle Vale poczuł straszny ból ściskający mu klatkę piersiową.

Znów spoglądał w otchłań.

*

Taksówkarz wdusił przycisk radia i przekręcił gałkę. Z głośników popłynął gniewny głos dziennikarza: „Dziś, w godzinach wieczornych, w podziemiach Dworca Centralnego doszło do przerażającego wypadku. Uzbrojony w miecz szaleniec zabił bezdomnego, Świadcami zdarzenia było kilkadziesiąt osób, w tym kilku policjantów, którzy jednak nie zdążyli w porę zainterweniować. Mówi jeden z uczestników zdarzenia...

Obciął mu normalnie głowę mieczem i wtedy policjant wystrzelił.

Było już jednak za późno...

Informacja z ostatniej chwili: zabójca był maniakałnym wielbicielem książek fantasy brytyjskiego pisarza Johna Puttmana, opowiadających o barbarzyńskim rycerzu. Być może utożsamiał się z bohaterem ulubionej książki. To kolejny dowód wspierający twierdzenie, że nałóg czytania może być szkodliwy... Czytanie albo zdrowie – wybór należy do ciebie!”

Taksówkarz spojrział na pasażera.

– Ależ się pojebało, nie?

Gliniany rycerz

Wydzwaniała do niego już od tygodnia. W zasadzie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że był zupełnie nieznanym rycerzem, mieszkającym

w pustym zamku, odwiedzanym jedynie przez agentów ubezpieczeniowych. Można rzec, że ta anonimowość została mu przekazana w genach. Jego matka nigdy nie poznała imienia jego ojca, z czego wniosek, że ten również musiał być bardzo tajemniczym osobnikiem.

Zamek otaczała głęboka fosa, w której mieszkał emerytowany instruktor narciarstwa alpejskiego. Czasami, gdy księżyc prezentował pełnię swych wdzięków, staruszek nakładał narty i wyruszał w poszukiwaniu gór. Zawsze wracał o świcie, smutny i nadąsany.

Nieznany rycerz zwykle wstawał późno, chyba dlatego, że nie miał się z kim bawić. Uchylając rąbka tajemniczy służbowej powiem, że nazywał się Karl i powoli zbliżał do czterdziestych urodzin.

Karl spał jeszcze w barłogu z baldachimem, gdy zadzwonił telefon. Przeklinając siarczyście, co było konsekwencją głupiego nałogu obgryzania zapalek, odrzucił na bok puchowe nakrycie.

Obnażony Karl cały świecił. Była to chyba wina jego rodziców...

Na wpół przytomny podniósł słuchawkę.

– Kto mówi ?

– Nie poznajesz mojego głosu ?

– Ach, to ty – odparł bez entuzjazmu. Była to ta sama dziewczyna, która wciąż do niego wydzwaniała. – Czym mogę służyć o tak wczesnej porze?

– Ależ najdroższy! Wiesz dobrze, czemu dzwonię...

– Czemu?

– Do diaska! Musisz mnie uratować! Przyjeżdżaj wreszcie i zabij tego smoka, który mnie więzi!

– Ale ja nawet nie wiem, jak wyglądasz.

– Przyjeżdż, to się dowiesz – w jej głosie zabrzmiały nagle groźne nuty. – Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj! Masz być przed kolacją! Pa!

To powiedziawszy, odłożyła słuchawkę. Karl natychmiast podjął decyzję. Co prawda, przywykł już do uroków starokawalerskiego życia, ale z drugiej strony musiał wreszcie wypróbować te nowe troki kupione niedawno na wyprzedaży...

Smocza jaskinia oddalona była od zamku o pół godziny jazdy samochodem. Karl włączył radio, które oczywiście nie działało.

Na szczęście, troki spisywały się, jak dotąd, znakomicie. Karl pomyślał jednak, że po miesiącu mogą stać się trochę niewygodne.

Cóż, to się jeszcze okaże.

Droga wiodła przez nieprzyjazny krajobraz. Wszędzie stały traktory, porzucone przez zapomnianych rolników. Gdzieś lśniły purpurowe oczka jezior, wypełnionych mutagennym roztworem. Nad tym wszystkim szybowały plastikowe ptaki o oczach zasnutych żądzą mordy.

Pieczara była już niedaleko. Karl sprawdził stan uzbrojenia.

Karabin maszynowy na pewno nie zawiedzie. A w końcu czasy wymachujących mieczami kretynów dawno minęły.

Rycerz wysiadł z samochodu. Powoli zbliżył się do otworu w skale, przy okazji uważając, by nie wdepnąć w smocze łajno.

Nagle drogę zastąpił mu smok. Był niewielkim stworzeniem, odrobinę przypominającym pudła.

– Co tu robisz, do licha? Kim jesteś? – spytał.

– Nazywam się Karl – powiedział Karl. – Przyszedłem cię zabić.

– Strzelaj – odparł smok. – Wyświadczysz mi tylko przysługę.

Karl strzelił więc. Przez chwilę skalny korytarz zakrywała chmura złożona z wnętrzości i kawałków futra. Ale tylko przez chwilę. Ta chwila upłynęła zresztą w bardzo nerwowej atmosferze, gdyż nasz bohater musiał uchylić się przed resztkami piesiego kutasa, usiłującymi przyszpilić go do podłoża.

Nagle oczom Karla ukazała się Nieznajoma. Wtedy zapragnął znaleźć się całkiem gdzie indziej, ale było już za późno.

– Już nigdy cię nie opuszczę – powiedziała Nieznajoma, potwierdzając jego najgorsze obawy.

Na huczne wesele zjechali wszyscy znajomi Karla i Panny Młodej. Na szczęście nie było ich zbyt wielu. Oczywiście pojawił się także emerytowany instruktor narciarstwa alpejskiego, który na tę okazję wygrzebał się z fosy z wielką niechęcią. Przyjechali także czterej jeźdźcy Apokalipsy.

A potem Karl i jego Żona żyli długo i szczęśliwie. Chociaż powiadają, że szczęście wcale nie zależy od długości.



Krzysztof T. Dąbrowski

W 1978 roku powitał świat głośnym krzykiem (ponoć dwie położne do dziś mają problemy ze słuchem). Ów wszechstronny demoralizator i awanturnik zapragnął zostać muzykiem rockowym – niestety matka natura poskąpiła mu muzycznych talentów. Zdesperowany rzucił się w objęcia dziesiątej muzy. Gdy ukończył reżyserię uznał, że chyba woli inną (Matki, chowajcie swoje córki! Córki, chowajcie swoje matki!).

Postanowił zostać nowym wieszczem narodowym – pod koniec 2006 roku chwycił za pióro i tak zostało mu do dziś. W 2008 roku popełnił zbiór opowiadań pt. „Naśmierciny” (czyli małe co nieco dla miłośników groteski horroru i fantastyki). W lutym 2009 roku opublikował opowiadanie w słowackim *Playboyu*. W maju 2010 ukazała się jego druga książka „Anima vilis” i... bez przerwy odgraża się, że to jeszcze nie koniec!

Wielki Grzybiarz

Kacew zażył zbyt wiele środków halucynogennych. Oczywiście „zbyt wiele” jeśli brać pod uwagę ich wzmocnione po wymieszaniu z wódką działanie.

Oczy błyszczały mu szaleństwem.

Bryzgając śliną krzyczał:

– Jam jest wielki grzybiarz! Jam!

Nagle na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– A gdzie grzybki?! Gdzież one?!

Omiótł salę przymglonym spojrzeniem.

– Nie ma! – jęknął płacząco. – Żli ludzie! Zniszczyli środowisko!
Grzybki wyginęły!

Usiadł przy pulpicie, złapał się za głowę i zapłakał.

Chwilę później przetarł oczy mamrocząc:

– Jam jest wielki grzybiarz! Jam! Nowe zasadzę!

Jak szalony powcisnął wszystkie czarne przyciski.

Z bazy wystartowały rakiety dalekiego zasięgu.

Błękitna planeta obrodziła setką grzybów atomowych!

PRZESIADKA

– Łooo Jeezuuu– wychrypiął Stasiek, zbudzony przez silny KR ucisk w piersi.

Czuł, że nie może zaczerpnąć oddechu. Matko, pikawa mi stawa!– pomyślał przerażony i wydając z siebie ostatnie tchnienie dokonał żywota. Żywota dokonała też nieszczęsna mucha przelatująca akurat nad jego głową. Od much zresztą, wręcz roiło się w Stańskowym domu, aczkolwiek niewielu odważyłoby się nazwać miejsce, w którym żył, prawdziwym domem.

Mieszkał bowiem w malutkim pokoiku z aneksem kuchennym.

Gdybyśmy weszli do środka, na przywitanie spod nóg wzbilyby się w powietrze tumany kurzu. Zanim oczy przyzwyczałyby się do panującego półmroku, nos zostałby skatowany przez bliżej niezidentyfikowany odór, będący zapewne mieszaniną smrodu w wymiocin, porozlewanej gorzały i leżących po kątach wiekowych resztek pokrytego pleśnią jedzenia.

Po paru chwilach, kiedy moglibyśmy się wreszcie rozejrzeć, ujrzelibyśmy pobjowisko jakich mało. Po podłodze walały się butelki po wódce, piwie i tak zacnym trunku jak wino marki „Wino TUR– siła i moc”. Na ścianach, pomiędzy odłazającymi płatami farby, panoszył się grzyb. Na skotłowanym łóżku leżała szarobura, zapewne antyczna już, pościel. Zaś w zlewozmywaku zalegało kilimandżaro brudnych naczyń (na podłodze leżały potłuczone resztki tych, które nie miały tyle szczęścia, by utrzymać się na szczycie owej chybotliwej konstrukcji).

Ale, przecież nie oglądamy programu o sztuce wnętrzarskiej.

Wróćmy zatem do owej biednej muchy, która leżała martwa na zastygłej w bezruchu Staśkowej piersi. Zabiło ją zabójcze stężenie alkoholu w wydychanym powietrzu– nasz bohater, jak się zapewne domyśliliście, za kołnierz nie wylewał.

Stasiek leżał z szeroko rozdziawionymi ustami– pomieszkiwały w nich smętne resztki uzębienia, które każdego dentystę doprowadziłyby do zawału. Niewidzącymi, przekrwionymi, oczyma wpatrywał się w siną dal. Dal, która w tym świecie kończyła się sufitem. Jednakże zdziwienie zastygłe w nieruchomych oczach sugerowało, że w chwili śmierci Stasiek widział coś innego niż tylko sam sufit. Z okolonej wianuszkami siwych włosów łysiny zsunął się ciemnoniebieski, poplamiony czymś beret. Takiego Staśka znajdują, za tydzień, pracownicy socjalni. Wezwie ich zaniepokojony (w krótkiej chwili trzeźwości) sąsiad.

Jako autor nieco się zapędziłem porzucając tak szybko naszego bohatera. Moi drodzy, Stasiek, tak naprawdę, nie umarł. Przynajmniej nie do końca...

Cofnijmy się trochę w przeszłość. W chwili, gdy nieświadoma strasznego zagrożenia, mucha pędziła wprost ku Staśkowi (ach, jakich to przysmaków dostarczał jej ten dobry człowiek!), ów poczuł, że cała boleść zniknęła. Ogarnął go taki błogostan, jakby już co najmniej pół litra przechylił. Widział sufit pokryty zaciekami i siateczką pęknięć, który... znieznacka został rozdarty tak, jakby był kartką papieru!

– Kie Belzebuby?!– wykrzyknął zaskoczony Stasiek.

Tymczasem „Belzebuby” dokończyły dzieła i przez pokaźną dziurę wylała się nań fala oślepiającego światła.

Może delirę mam?– przemknęło mu przez myśl.

Z otworu wystrzeliły świetliste ręce. Pochwyciły go i z niesamowitą siłą pociągnęły ku światłości.

Leżał, na czymś leżał, to fakt niezaprzeczalny. Ale na czym?

Tego za paczkę wiarusów nie byłby w stanie powiedzieć. Ni to twarde było, ni miękkie– ot, dziwne takie jakieś.

Wreszcie oczy zaczęły przyzwyczajać się do nowych warunków. Pierwsze, co ujrzał, to ogromna, poczerwieniała, niczym przejrzały pomidor, twarz. Taka ni to męska, ni to kobieca, ale jedno mógł stwierdzić– na pewno: nie mogła to być gęba policjanta zgarniającego go do izby wytrzeźwień, ani żadnego z „opiekunów” zatrudnionych w tym jakże mu znajomym przybytku.

Ta twarz była dobra, a jednocześnie... potwornie znudzona– wiało z niej znudzeniem, tak jak z niego wywiewało śmierdzące wiatry po grochówce!

– Witaj. Umarłeś. Jesteś w niebie.– Obcy mamrotał monotonnym głosem, jakby recytował wykuty na blachę, nie lubiany, wiersz.

Staśka zatkało. Zesztywniał nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Jestem aniołem. Nazywam się Armuel.

Mówiący nieco się wyprostował. Nie wyglądał na anioła, toteż pijaczek doszedł do wniosku, że musiał nawalić się jak drzwi od gajówki i solidnie rąbnął czerepem w coś twardego. Pewnie leży teraz w jakiejś cholernej Biedronce, a ów „anioł” to jakiś żartowniś z obsługi sklepu.

– Tyyy!– zacharczał rozeźlony, że mu ktoś takie marne dowcipy robi.

Młodzian, odziany w strój typowy dla pracownika supermarketu, pokręcił tylko głową i wyprostował się do końca, przez co Stasiek dojrzał, iż faktycznie dowcipniś ma do pleców przypięte skrzydła.

Przypięte, wypięte, ale to jeszcze nie powód, żeby byle łachmyta jaja se ze mnie stroił!– zdenerwował się nie na żarty.

Gotów był rzucić się do walki o swój dawno do rynsztoka spuszczonej (wraz z litrami spirytusu), pijacki honor. Zerwał się na równe (duchowe) nogi. Skutkiem tego wywinął dwa salta i zdezorientowany wylądował brzuchem na podłodze.

– Te, karateka, zbastuj no trochę!– wysapał.– Chcesz ty mie gnaty

połamać?!

Jak te pozory mylą– pomyślał.– Takie miłe miał chop gębiszcze, a wredna paszczęka się okazała. Falszywe to to jak wilki w owczej skórze!

Armuel milcząc przykucnął przed Staśkiem, aż mu się skrzydła po podłodze na boki rozjechały. Lustrował go spojrzeniem nie wyspanego cocker–spaniela.

Milczeli tak przez chwilę taksując się nawzajem wzrokiem i w końcu anioł uznał, że chyba pierwszy szok już minął– świeżo upieczone umarlaki zawsze stwarzają problemy na nowej drodze pozagrobowego życia.

– Nie możesz wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, bo widzisz jak to się kończy. Miej na uwadze, że posługujesz się teraz ciałem astralnym– rzekł anioł.

Stasiek nie miał pojęcia o czym ów młodzian bredzi ale po pokazie niczym nieusprawiedliwionego, brutalnego użycia siły, wołał grzecznie wykonywać polecenia tego skrzydlatego świrusa.

– Leż sobie spokojnie, bo i tak muszę ci najpierw wszystko na spokojnie wytłumaczyć– mamrotał agresor.

Tymczasem za plecami młodzika przeszła niezwyklej urody piękność– była NAGA!

– Oooo!– zdumiał się Stasiek, po czym zamlaskał lubieżnie.

– Ach, to tylko kolejna modelka. Zbyt intensywnie się odchudzała– anioł niedbale machnął ręką; będąc aniołem nie potrzebował oczu, by widzieć. Postrzegał wszystko ponad–zmysłowo.

Oczy zaś, podobnie jak ciało, były atrapą z ektoplazmy. Potrzebował jej tylko po to, by nie wzbudzać lęku u pacjentów (tak miał w zwyczaju nazywać podopiecznych).

Odczekał stosowną chwilę wiedząc, że „pacjent” będzie przez parę sekund rozkojarzony, po czym podjął przerwany temat: – Jesteś tu tylko na kilka chwil. Podliczymy twe uczynki i zobaczymy na co sobie możesz pozwolić w przyszłym życiu. Wiem, może ci się tu nie podoba...

Pijaczek uradowany widokiem taaakiej baby uznał, że jednak zaczyna mu się tu podobać.

– ...ale jak będziesz się stosował do moich poleceń, to wszystko pójdzie szybko i sprawnie i ani się obejrzysz, a narodzisz się na nowo.

– Na nowo...– powtórzył bezmyślnie Stasiek, w marzeniach obłapiał niewiastę za wszystkie krągłości (aczkolwiek bardziej stosownym

określeniem byłoby: kościstości).

Anioł widząc, że całe to gadanie nie ma już większego sensu podniósł ostrożnie rozanielonego umarlaka.

Stasiek ocknął się i zaczął rozglądać na boki w poszukiwaniu oblubienicy. Nigdzie jej nie wypatrzył, za to gdzieś w oddali mignęła mu biuściasta sylwetka innej. Zapraagnął pognać za zjawiskową pięknoscia, lecz nagle zrobiło mu się ślisko pod nogami– jakby próbował stepować w mydlinach. Niechybnie znowu „ucałowalby się” z podłoga, gdyby nie przytomna reakcja Armuela, który w ostatniej chwili go pochwycił.

Trochę to Staśka otrzeźwiło. Zerknął z ukosa na wybawiciela i wybąkał cicho:

– Dzi–dzięki chowie.

– Widzisz, jednak warto mnie czasem posłuchać– odparł anioł.

Stasiek potoczył błędnym wzrokiem; dopiero teraz zauważył, że na wszystkich półkach stoi to samo: pudełka różniące się od siebie tylko kolorem. Było ich mnóstwo; wewnątrz marketu aż kuło w oczy pstrokacizną.

Armuel przyzwyczajony do tego, że „świeżynki” często zachowują się jak ciekawskie dzieci, postanowił kontynuować swą przemowę, jak nie przymierzając– policjant, który zakładając kajdanki, musi odklepać stosowną formułkę mechanicznie i niemal nieświadomie, mimo że wcale nie jest słuchany.

– Jak już wiesz, umarłeś i jesteś w niebie, a dokładniej w przedsionku nieba, bo niebo to ogromny klub, który mieści się na 190034567858 piętrze. Jeszcze nie doszedłeś do tego etapu; aby się tam dostać, będziesz musiał wrócić na Ziemię i ulepszać swą karmę.

– Chowie, kurna, co ty mie tu o jakiejś karmie nawijasz! Co ja świniak jestem? Utuczyć mie chcesz i do ubojni?! Gadajże no po ludzku, bo w pytę zasunę!– zniecierpliwil się Stasiek i uznał, że zamiast wysłuchiwać tego przemądrzałego głupola, lepiej będzie sprawdzić, co zawierają te kolorowe pudełka.

Ech, by się browar jaki znalazł– rozmarzył się.

– Dobrze, zatem inaczej rzecz ujmując– kontynuował Armuel.

– Musisz doprowadzić swą duszę do doskonałości, czyli stać się czystą miłością.

– Srością– burknęła dusza pijaczka biorąc do ręki pierwsze z brzegu pudełko.

„Wzmocnienie koncentracji w medytacjach o 0,003% – tylko dziesięć punktów!!!” głośił, nachalnie kontrastujący z głęboką purpurą opakowania, jasnozielony napis.

A hakenkrojcie wam w dupę!– zniesmaczony odłożył produkt z powrotem na półkę.

– Wprawdzie jak na alkoholika masz całkiem sporo punktów, ale potrzebujesz jeszcze ze stu albo i tysiąca wcieleń– kontynuował Anioł– by stać się VIP–em i otrzymać przepustkę. Oczywiście to, czy to będą setki, czy tysiące wcieleń, zależy tylko od ciebie. A twoja, być może lepsza droga, zaczyna się właśnie tutaj.

To tu możesz podjąć przełomowe dla kolejnego wcielenia decyzje, mądrze wydając nagromadzone punkty.

– Punkty?!– ożywił się nagle Stasiek, odstawiając kolejne, jego zdaniem bezużyteczne pudełko; tym razem zapewniające większe zaangażowanie w gorliwej modlitwie.

– Tak, a jeśli chcesz, możesz zacząć od obejrzenia w naszym kinie raportu ze swojego życia. Ten seans nie jest drogi, a pomoże ci podjąć mądrzejsze decyzje.

– Te, koleżko, a maszże ty „Głębokie gardło”?

– Ja?– osłupiał Armuel.– Ja jestem istotą duchową, to co widzisz, to tylko iluzja ciała.

– Kuźwa, no o filma mie chodzi!

– Aaa, to nie. My tu tylko...

– A „Obcy 8– decydujące zaparcie”?

– Też nie.

– Łeee tam, do dupy z takim kinem!

– Nie chcesz...

– Nie chcem– odburknął Stasiek.

– No to, jak sobie chcesz– odparł niezrażony anioł.

Twoja strata buraku– dodał w myślach czując odrazę do tego, utyłanego w Bóg wie czym, prymitywnego pokurcza.– Że też muszę robić przy takich pętakach. Ech, sam sobie nagrabiłem...

Armuel nagrabił sobie całą serią niesubordynacji, gdy pracował na Ziemi w charakterze odprowadzacza dusz. Myślał, że tamta praca to dno dna dnem poganianego, ale okazało się, że ta w markecie „Niebo– Twój Raj!” jest jeszcze nudniejsza, marudniejsza i w ogóle po stokroć bardziej BE!

Zdegradowano go za to, że zaczął sobie urządzać regularne wycieczki do sfery materialnej– bo zachciało mu się zażywać ludzkich przyjemności. Osiągał to dzięki czasowemu przejmowaniu kontroli nad ciałami– a ściślej rzecz ujmując opętywał ludzi. Był już policjantem, był księdzem, był... był... był... i się skończyło. Niestety.

Pierwszych kilka wizyt było doprawdy szokujących. Gdy znalazł się pierwszy raz w ludzkim ciele, przejął kontrolę nad jadącym autobusem rudym chłopaczkiem. Skończyło się tym, że dostał lanie od jednego z pasażerów i chłopaczek skończył ze złamanym nosem. Ale, trening czyni mistrza i ostatnie wizyty na ziemi to już były ostre balangi przy czymś, co ludzie nazywają alkoholem i narkotykami, no i najprzyjemniejsza rozrywka, czyli SEKS– zwłaszcza tego ludziom zazdrościł. No, przynajmniej na początku zazdrościł, bo w miarę upływu czasu, w niebiańskiej monotonii marketu, wspomnienia zaczynały się coraz bardziej zacierać i o ile na początku Armuel podchodził do ciągotek swych klientów z jakim takim zrozumieniem, o tyle teraz coraz bardziej go one złościły. Niebiańska nuda odmóżdża– trzeba to przyznać!

– Pora abyś zdecydował, kim chcesz być, mężczyzną czy kobietą?

Stasiek z wrażenia upuścił „Skłonność do wegetarianizmu– tylko sto punktów!!!”.

– Źe jak, kobitą? Coś ty bucu jeden do kroćset mie tu wciskosz!

Jestem i bednem facet!

– Przy zamianie płci jest promocja– wybąkał anioł.– No ale dobrze, niech i tak będzie!

Armuel miał wspomnieć Staškowi, że co prawda raz na sto przypadków zdarza się drobna awaria i ktoś, kto rodzi się mężczyzną, a w poprzednim wcieleniu był kobietą, nadal może czuć się kobietą, i na odwrót– ale skoro ten ćwok malowany sam zrezygnował przerywając mu w połowie zdania, to już jego sprawa Przynajmniej prędzej będzie baran jeden odfajkowany!

– Chodźmy więc. Masz 57598 punktów, więc zabiorę cię na piętro pięćdziesiąt pięć i pół. Mamy tam świetne ciała za pięćdziesiąt pięć tysięcy.

– Panie, kurna, a nie dałoby się tej całej loterii wydać na zapas gorzały na całe życie?

– Nie, piętro alkoholowe jest tuż pod klubem, tam wysoko, wysoko i niestety jest ono tylko dla VIPów zarezerwowane.

Stasiek skrzywił się tak, jakby se omyłkowo łyknął bezalkoholowego piwa.

– No dobra, prowadźże pan na te ciała!

Anioł pstryknął tylko palcami i nagle wszystko wokoło zmieniło się nie do poznania.

Półki poznikały, a zamiast nich pojawił się nie kończący się las zbiorników, w których zanurzone były ludzkie ciała.

Z niewidzialnego głośnika rozległ się skrzeczący głos, jakby kto w dyspozytorni na dworcu centralnym papugę za mikrofonem posadził (choć kto wie, czy faktycznie nie siedzą tam specjalnie tresowane papugi?):

– Pien–tro pienć–dzi–siąt–pinć–ty–się–cy–i–pół!

– Jezu, charczy jak Wiesiek!– skrzywił się Stasiek na wspomnienie kumpla, który wypalał dziennie trzy paczki ekstra mocnych bez filtra.

– Zapraszam na prawo– rzekł Armuel.– Wszystkie ciała prezentują osobników w ich najlepszym wieku. Pod każdym egzemplarzem masz pan opis. Ja sobie tu teraz siadę, a ty pooglądaj i wybierz coś. A jakbyś miał jakieś wątpliwości wystarczy zawołać, w mig się pojawię.

Staškowa dusza spojrzała spode–astralnego–łba i ruszyła przeglądać ciała.

Gdy tylko gburowaty patafian oddalił się trochę, Armuel dmuchnął na podłogę, która natychmiast zasłała się mięciutkimi poduszkami.

– No, to czas na odrobinę słodkiego lenistwa!– ucieszył się kładąc na wygodnym legowisku.– Zmęczony pracownik, to zły pracownik, i basta!

Leżał i wspominał z rozrzewnieniem dawne czasy: jak to z Mehebem, diabłem arystokratą (zresztą jakim diabłem; diabły to przecież tylko upadłe anioły– na tyle szpetne, że nie nadawały się do pracy z klientami oddelegowanymi do niebiańskiego oddziału) biesiadowali na ziemi. Podrywali panny. Popijali przednie trunki.

To były czasy– rozrzewnił się i ziewnął przeciągle.

Astralne powieki zaczynały mu już coraz bardziej ciążyć.

W sumie skoro pijacek jest odfajkowany i zanim znajdzie sobie ciało minie parę godzin– uśmiechnął się rozanielony.

– To może by się tak zdrzemnąć, hmmm?

Jak pomyślał, tak zrobił.

Usnął błogim snem. A sen miał cudny: przejął kontrolę nad gwiazdą rocka, na chwilę przed rozpoczęciem koncertu na gigantycznym stadionie. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie miał isticie diabelskiego (jak na anioła) zamysłu. Wokalista zamierzał rozpocząć imprezę od sztandarowego kawałka swej kapeli – „The number of the beast”– lecz anioł umyślił sobie, że dla jaj

zmusi to ciało, by odśpiewało perlistym alcikiem „Litanię do Matki Boskiej, Panią Przenajświętszej”. Niestety nie zdążył zrealizować tego pomysłu. Ze snu wyrwało go mocne kopnięcie w bok. Półprzytomny otworzył najpierw jedno oko, potem drugie, ziewnął i usiadł rozmemłany od snu, który jeszcze do końca z niego nie spłynął.

– A co to się towarzyszu Armuelu wyprawia, co?!

– Co, kto?– zaniepokoił się anioł.

– Kościśław Pluszak, starszy oddziałowy do spraw porządkowych sfery astralnej dla oddziału Niebo– wyrecytował jak automat agresor, po czym czerwieniejąc na twarzy ryknął:– Baaaaczność!

Anioł poderwał się przerażony, gdyż dopiero teraz dotarło do niego, z kim ma nieprzyjemność. Stał wyprostowany, napięty jak struna, podczas gdy Pluszak przyglądał mu się ze złośliwym uśmieszkiem nakręcając jednocześnie długiego węża na palec.

– Więc to tak! Opierdalacie się na służbie! Tak?

– Tak jest, starszy oddziałowy, melduję posłusznie, że opierdalałem się na służbie!– odkrzyknął Armuel. Wolał być posłuszny i nie zaprzeczać Kościśławowi. Nie chciał spaść jeszcze niżej w anielskiej hierarchii, bo jeszcze trochę, a przemienią go w diabła i oddelegują do piekła. I miałby dużo szczęścia, gdyby pozwolili mu na eskortowanie tam dusz złoczyńców. Oj tak, miałby naprawdę bardzo dużo szczęścia. Najpewniej jednak zrobili by go zwykłym diabłem, który musi pilnować porządku. A to by oznaczało, że tak jak potępione dusze, zamknięte w astralnych klatkach, musiałyby wysłuchiwać leżącego non-stop na całym regulatorze Radia Maryja. A tak swoją drogą Armuel musiał przyznać, że ktoś z zarządu miał łeb nie od parady, bo przecież słuchanie tego radia to iście diabelska tortura.

– Dobrze, bardzo dobrze– mruknął ukontentowany Kościśław.

– To znaczy, bardzo kurwa niedobrze!– ryknął poprawiając się.

Armuel starał się nie patrzeć w przekrwione oczy Pluszaka, ale nieświeżego oddechu, który owionął delikatną twarz anioła, nie dało się uniknąć. Milczał, bo to było w tej sytuacji najlepsze rozwiązanie. Jak się dziad jeden wykrzyczy i wyładuje swoje frustracje, to może mu trochę przejdzie i przymknie oko.

I nie pomylił się– dziad pyszczył się jeszcze dobre pięć minut wyzywając go od pomiotów piekielnych przynoszących ujmę honorowi Najświętszej Panią, niegodnych tego, by lizać sracz Szatana, po czym zakończył swą

tyradę: – I żeby mi to kurwa, naprawdę ostatni raz było.

– Tak jest! Ostatni raz!– odkrzyknął Armuel i dziękował opatrności, że jeszcze i tym razem udało się wykaraskać z opresji.

– A teraz marsz, zapierdalać do klienta!

– Tak jest! Zapierdalam do klienta!– Powtórzył Armuel i pognął czym prędzej do Staśka, który nagle wydał mu się niemalże aniołem...

– Jestem– zameldował się wciąż jeszcze zestresowany anioł.

– Czego?– odburknął Stasiak (był to niemalże miód na uszy Armuela)?

– Ano, sprawdzam, czy ci czegoś nie trzeba. Masz może jakieś pytania?

Pijaczek podrapał się po gęstej szczecinie, puścił melodyjnego bąka świadczącego iż nawet astralne kiszki ma bardzo sprawne, po czym zawyrokował:

– Jakies łone takie no, wybrakowane.

– Jakie?– zniesmaczył się Armuel.

– Nu, bo pizom tu, że łon taki mundry, zdolny, ale nie pizom ile wychlać może. Czy wątroba mocna? Nu nic nie piszą. Baa, nawet nie pizom, czy to to łeb ma mocny. Kiś szajs tu macie!

Zdegustowany anioł podrapał się po braku szczeciny, nie szpanując stanem swych astralnych kiszek i odparł: – No, dla modeli z tego piętra nie przewidzieliśmy żadnych nałogów. Mają specjalne zabezpieczenia.

– Eee, to nie chcem!

No i co tu z takim zrobić, łachudrą jednym?– Anioł powoli tracił cierpliwość.

– Nie, to nie. Przenieścimy się na trzynaste piętro.

Pstryknął i przenieśli się do bliźniaczego pomieszczenia, z tą jednak różnicą, że zawartość pojemników nie była już niestety (choć dla Staśka „stety”) taka sama.

Pijaczek rozpromienił się, po czym wypruł jak messerschmitt ku najbliższemu z pojemników. Unosił się w nim typowy uliczny menelik. Cera upstrzona czerwonymi pijackimi żyłkami, jak mapa miasta podrzędnymi uliczkami. Oczy również przekrwione, jak u kogoś cierpiącego na bezsenność. Na ustach przygłupi uśmieszek. Wystawał z nich pet, niedbale wetknięty pomiędzy dwa zęby jedyne jakie miał. Na głowie zaś miał krzywo założony berecik zwieńczony sterczącym dzyndzołkiem. Na czoło opadała beładnie strzecha przetłuszczonych włosów– sterczących we wszystkich możliwych kierunkach.

Ten widok był dla Staśka bardzo, BARDZO znajomy– codziennie oglądał podobny stojąc przed nieziemsko brudnym lustrem.

Spojrzał na opis:

„Bardzo duże predyspozycje do alkoholizmu i podobne do uzależnienia od papierosów”. „Prawdopodobnie wpadnie w seksoholizm”. „Przewidywana długość życia: grubo poniżej ogólnej normy”. „Inteligencja: poniżej normy”.

Lista była jeszcze długa, lecz Staśkowi nie chciało się już dłużej czytać, wolał pomęczyć pytaniami tego skrzydlatego dupka: – Te, a dupczyć to ja będę se mógł tak solidnie, jak nim będę?

– No niezbyt. Od picia i palenia będziesz impotentem.

– A se mogę, tego no, tej potencji dokupić? Bo to to– rzekł wskazując na interesujący go model– tanie jakieś takie.

– Oczywiście, na wyprzedaży mamy sporo przecenionych pakietów.

– A łeb łon ma mocny?

– Mocny, tylko wątroba szybko będzie wykończona.

– To se bym ją wzmocnił, co?

– Oczywiście, jak sobie życzysz, możemy dorzucić odporność organizmu na działanie alkoholu. Też mamy na przecenie.

Stasiek wypytał jeszcze o sporo różnych pakietów, po czym ruszył na zakupy. Dokupił jeszcze kilka pakietów typu „Urok osobisty 7– tylko 2000 punktów”(miał on szczególne oddziaływanie na niewiasty) i wrócili do wybranego ciała.

– No, najlepszego ciała dla swej duszy to ty nie wybrałeś– stwierdził anioł.

– A tobie, co do tego? W papę chcesz?

– Tylko komunikuję, na wypadek gdybyś zechciał zmienić zdanie.

– A zgwintuj se wreszcie jadaczkę! Chcem tego i już!– wściekł się Stasiek.

– Dobrze już, dobrze. Ale pamiętaj, mimo wszystko będziesz mieć wolną wolę. Mimo tych parametrów nadal będziesz miał cię szansy, by wyjść na ludzi.

– Wy mie tu anioł nie pieprzcie farmazonów. Jedziem z tym koksem!

– Ech, w takim razie żegnam– westchnął anioł i pstryknął palcami.– Słodkiego miłego życia.

Stasiek znalazł się nagle w dziwnym czerwonym tunelu, na którego krańcu było światło. Leciał ku światłości, coraz szybciej i szybciej, coraz mniej pamiętając, kim był, aż w końcu resztki dotychczasowej świadomości wyparowały z jego umysłu pozostawiając w nim zupełną pustkę. Z zawrotną

prędkością wpadł w światłość.

Noworodek zaczął histerycznie płakać.

– Łooo Jeeeezuuu– wyjęczała kompletnie pijana Mieczysława.

– Wieeesieeeeek! Wieeesieeeeek! Cho no! Będziesz pępowinę rznął!

– Ide! Ide– półprzytomny Wiesiek z trudem wycharczał odpowiedź (bo wypalał dziennie trzy paczki ekstra mocnych bez filtra...).

Odbicia

To tak wygląda śmierć - pomyślałem - jak w jakimś pieprzonym matrixie.

Unosiłem się i jednocześnie bardzo powoli obracałem. To wszystko musiało się dziać w błyskawicznym tempie, ale odbierałem to tak, jak film puszczone na zepsutym projektorze.

Wznosiłem się i wirowałem - zupełnie jakby mnie coś z ogromną siłą uderzyło. Najdziwniejsze było to, że nie widziałem rąk, nóg ani reszty ciała... jakbym go nie miał. Czułem się trochę jak duchowy bączek zakręcony przez psotne astralne dziecko.

Rozśmieszyło mnie to pokręcone skojarzenie. Śmiałem się choć powinienem panikować, krzyczeć. Ale nie, ja się śmiałem! Jeśli tak wygląda śmierć, to zapowiada się to wszystko bardzo ciekawie.

I tylko jednego nie mogłem pojąć – skoro nie widzę swego ciała, to czemu wszyscy biegną w moim kierunku? Czemu wszyscy się we mnie wpatrują?

Chwilę później zniknęli mi z oczu - teraz widziałem tylko stary, pokryty łuszczącą się farbą sufit.

Unosiłem się, początkowo szybko a później coraz wolniej i wolniej. Przestałem się też obracać - zupełnie jakby Bóg chciał mi powiedzieć:

„Stop kolego! Na ciebie jeszcze za wcześnie. Wracaj!”.

Czytałem w różnych książkach o doświadczeniach ludzi, którzy przeżyli własną śmierć - zawsze był tunel, oślepiająca światłość, obecność dobrotliwej istoty, film z całego życia i tak dalej i tak dalej; ja tymczasem doświadczyłem

„światłości” jarzeniówki, dobrotliwa istota nie zaszczyciła mnie choćby odrobiną uwagi, a o filmie mogłem już chyba tylko pomarzyć (zdaje się, że nie kupiłem astralnego biletu...).

Ech, to wznoszenie się było takie przyjemne. Czułem się wolny i lekki.

Zacząłem spadać, coraz szybciej i szybciej. Słyszałem szum powietrza. Sufit oddalał się w ekspresowym tempie. Za chwilę z impetem wpadnę w swoje ciało i poczuję ból - na sto procent!

Może to serce? Może było za słabe? Jakaś wada, o której ani ja, ani lekarze nie wiedzieli? Mogłem też mieć wypadek. Dziwne to wszystko. Cokolwiek mi się przytrafiło straciłem świadomość tego, gdzie jestem, co przed chwilą robiłem i kim jestem - taka duchowa amnezja.

Nagle łup! Coś mnie uderzyło. Świat się rozmazał. Pędziłem gdzieś w zawrotnym tempie by po chwili uderzyć w coś twardego. Odbiłem się od tego czegoś. Może to była jakaś inna dusza, z którą się zderzyłem? Czy z duszami jest tak, jak z magnesami i ich odpychającymi się polami? Nie, niemożliwe, wtedy to odbicie było by zapewne dużo łagodniejsze, takie miękkie, a ja przecież solidnie przywaliłem – ot, jak materia z materia...

A jeśli na skutek pierwszego uderzenia mam teraz takie dziwne odczucia? Nie da się wykluczyć tego, że mogę być w swoim ciele, tyle tylko, że coś mi się w głowie poprzestawiało? To się przecież zdarza - nieraz słyszałem o takich sytuacjach.

Na budowie w Stanach facetowi spadła na łeb ciężka metalowa rura. Potem twierdził, że nie ma ciała. Ktoś inny, na skutek wylewu, doznał na tyle poważnego uszkodzenia mózgu, że potem do końca życia wydawało mu się, że jego lewa ręka nie należy do niego, lecz do kogoś obcego. Gorzej – koleś kompletnie nad nią nie panował. Często zdarzało się, że własnoręcznie fundował sobie całkiem pokaźną śliwkę pod okiem. Całkiem prawdopodobne, że nadal żyję, jestem w swoim ciele, mam ręce, nogi, i tylko na skutek uszkodzenia mózgu przestałem sam siebie postrzegać.

No bo jak to inaczej wytłumaczyć - to, że poczułem zderzenie i poprzedzające je uderzenie tak... tak materialnie?

Przekreśliło mnie pod takim kątem, że ujrzałem wielu ludzi.

Stali. Patrzyli się gdzieś w milczeniu.

A jeśli to jest zamach terrorystyczny, albo wybuch gazu? Może tam płoną ludzie i miotają się na oślep wpadając na siebie? Może konają leżąc na podłodze w powiększających się kałużach krwi?

Boże! A jeśli ja znajduję się wewnątrz urwanej głowy? To by wszystko tłumaczyło!

Nie wiedzieć czemu cała sytuacja skojarzyła mi się z animowanymi wstawkami Monty Pythona - zaraz pewnie pojawi się gigantyczna stopa, która kopnie moją głowę poza kadr...

W dawnych czasach - gdy publicznie ścinano głowy, a podniecona gawieź traktowała egzekucje jak widowisko - wielokrotnie zdarzało się, że ucięta głowa żyła jeszcze przez kilka, kilkanaście sekund. Ścięci próbowali mówić otwierając raz po raz milczące usta. Mrugali z niedowierzaniem nie potrafiąc zrozumieć, co się z nimi dzieje - dlaczego wciąż żyją?

Żyli tylko dlatego, że mózg zużywał resztki dostarczonego z krwią tlenu. Nie wykluczone, że to samo dzieje się teraz ze mną.

Pewnie lada moment zobaczę jak wygląda prawdziwa śmierć.

Poznam odpowiedź na zadawane od wieków pytanie: co jest potem? Zdjęła mnie trwoga przed nieznanym. Naraz zacząłem rozpaczliwie analizować całe swoje życie próbując dojść do tego, czy byłem dobrym człowiekiem, czy raczej nie.

Nagle zacząłem spadać z zawrotną prędkością. Wszystko się rozmazało. W coś uderzyłem (podłoga?). Odbiłem się. Wszystko wirowało. Znowu w coś uderzyłem i znowu się odbiłem. Za każdym razem wznoszenie po odbiciu było coraz słabsze.

Brak tlenu - pomyślałem. - Mam halucynacje, to koniec!

Gdy przestałem się odbijać doznałem takiego odczucia, jakbym się toczył. Jakieś smugi światła, rozbłyski. Wirująca coraz wolniej rzeczywistość – no haluny normalnie jak ta lala!

O dziwo zatrzymałem się. Po chwili znowu zacząłem rozróżniać detale.

Nogi. Parkiet. W oddali - jakieś zbiegowisko. Podbiegł tam mężczyzna ubrany na białą. Tłum zaczął się rozstępować. Ktoś kogoś reanimował. Krzyki. Płacz. Coraz większe zbiegowisko.

Usłyszałem za sobą głos:

- Zanieś piłkę do szatni.

Poczułem, jak obejmują mnie czyjeś ręce. Zostałem uniesiony.

Ujrzałem też kogo reanimują - MNIE!

O, kurwa! Jestem piłką do koszykówki!



Kazimierz Kyrz Jr

Lokalizacja: Kraków city, blisko Wisły.

Pracuje w mocno zhierarchizowanej firmie, więc naturalną kolejną rzeczą nienawidzi wszelkich szufladek, łatek i donosicielstwa. Opublikował kilka książek wspólnie z Dawidem Kainem i Robertem Cichowlasem. Na podstawie opowiadania „Głowa do kochania”, którego jest współautorem, Amerykanin Van Kassabian nakręcił obcojęzyczny film „Head to Love”.

Prywatnie mąż i ojciec (dwukrotnie). Nigdy nie był na wojnie, z czego jest bardzo zadowolony. Strzela dobrze, ale tylko na strzelnicy. Jak dotąd nie zabił żadnego człowieka, liczy na to, że tak już zostanie.

W planach następne publikacje. Biorąc to pod uwagę zamówił właśnie regał o wzmocnionej, tytanowej konstrukcji.

Orędownik twórczości Kathe Koji, niepoprawny fan The Cure

Zmazy i zarazy

Monice upieprzyło się, że należy zdobywać nowe doświadczenia życiowe, bo dzięki nim łatwiej przetrwać w przepastnym wnętrzu miejskiego molocha. No i od zawsze marzyła o tym, by kiedyś zostać pierwowzorem którejś z opowieści Philipa K. Dicka.

Nie odstraszyło jej nawet to, że w epitafium „Poprzez ciemne zwierciadło” Filip podziękował kilkunastu swoim znajomym, z których większość zesłała do poziomu zero, a pozostali nabawili się trwałych zmian psychosomatycznych. Gdy więc któregoś razu nadarzyła się okazja – a każda okazja stanowiła dla niej wy-zwanie – by spróbować tabletki gwałtu w nie skończonej jeszcze postaci (ta postać odróżniała się od skończonej tym, że śmierdziała i nikt przy zdrowych zmysłach dobrowolnie by jej nie łyknął), Monika spożyła półprodukt, który zadziałał ze skutecznością młotka wybijającego zęby wrogom klasowym.

Po jakimś czasie obudziła się w obcym mieszkaniu, czy raczej melinie. Co prawda sama, ale za to naga i wysmarowana substancją antypoślizgową – zwłaszcza w intymnych miejscach – co dało jej trochę do myślenia, a w szczególności kazało zwijać żagle.

Dopiero wybiegając z rozpadającej się rudery, gdzieś na obrzeżach Nowej Huty, przypomniała sobie, że autor „Ubika” umarł pod koniec dwudziestego wieku.

Na chuj więc były te wszystkie poświęcenia?

Zakochani w końcu

Lubił magiczne książki. Takie, które przenosiły go w inny – nieważne lepszy czy gorszy, najważniejsze, że ciekawszy od prawdziwego – świat.

Ta była właśnie taka. Niestety, skończyła się zbyt szybko.

W jednej chwili pochłonięty lekturą, w następnej został bezlitośnie wyrzucony na bruk blokowiska.

Próbował czymś się zająć, no jasne, że próbował. Ociężały niczym wieloryb autobus przejeżdżał akurat obok parkanu z blachy falistej, od dołu do góry zaklejonego plakatami zapraszającymi na koncerty zespołów, których nazwy nic mu nie mówiły.

Przewidywalna do bólu monotonia otoczenia drażniła z uporem gwoźdźcia w bucie. Dramat, po prostu total szit masakra.

Znudzony, przeniósł wzrok na współpasażerów. Co okazało się błędem, bo poza pryszczatym nastolatkiem i kilkoma babołakami zauważył całkiem ładną dziewczynę. Może nie aż tak doskonałą jak te z żurnali, ale za to taką, która miała osobowość.

Musiała ją mieć, skoro nie zważając na deszczową pogodę ubrała się w różowe japonki i nie całkiem czarny, prześwitujący foliowy worek z dziurami na głowę i ręce.

Biedaczka, pomyślał. Potrzebuje pomocy.

Wysiadł na tym samym przystanku co ona i – przewyciężając wrodzoną nieśmiałość – zaproponował, że pożyczy jej trochę pieniędzy, żeby mogła kupić sobie coś cieplejszego.

– Spadaj, z boku – warknęła asertywnie, wydymając wargi i kręcąc biodrami, jakby rozgrzewała się przed tańcem na rurze.

Nie wiedział o co chodzi, szczególnie, że wszystkie rury, jakie były w pobliżu, znajdowały się głęboko pod ziemią. Zresztą, taniec przy rurze kanalizacyjnej mógłby podniecić jedynie skrajnych dewiantów. Albo kanalarzy. Albo...

– Słuchaj, jesteśmy z tego samego miasta. Dogadajmy się – jęk-nął, wpatrując się w piersi dziewczyny, które w tym właśnie momencie zafalowały buntowniczo, napierając na plastik.

– Co?

– Dostaniesz pięć dych jak dasz mi potrzymać...

– Stówa.

– Dobra. Stoi.

Dobili targu, choć przecież nic im nie zawinił.

Lodowa epopeja Basi

Barbara uwielbiała lody. Uściślijmy – nie robić, tylko jeść.

Szczególnie smakowały jej zielone, kojarzące się z naturą i mundurami.

Wiadomo przecież, że za mundurem panny sznurem.

Barbara – co musimy przyznać ze smutkiem – pomimo tego, że dobiegała czterdziestki, wciąż była panienką. Albo singielką, zależy od punktu widzenia.

Nie da się jednak ukryć, że nie miała nikogo, kto dzieliłby z nią trudy i znoje bytowania w okrutnej rzeczywistości XXI wieku.

By zachować resztki dobrego samopoczucia, zaspakajała się więc RC lodami. Przetestowała ich mnóstwo, wszystkie dostępne smaki i rodzaje. Co oczywiste, zaczęła od lodów włoskich, później były te w kubeczkach, w pucharkach, rożki, świderki, twistery, oblane czekoladą, z dodatkiem kruszonych wafelków, lody sprzedawane na gałki, w formie kanapek, imitujące skórę dinozaura...

Najpraktyczniejsze okazały się lody na patyku. Kiedy trzymała patyczek, wpychając sobie dobrze zmrożonego loda między uda, lód nie roztapiał się jej w ręce, co znacznie zwiększało szansę osiągnięcia orgazmu. Szczytowanie w tak mroźnych warunkach miało posmak autentycznej arktycznej przygody, tchnęło świeżością balonowej gumy, wydatnie zwiększając komfort samopożycia.

Któregoś razu zakupiła całą paczkę nowych lodów, o opływowym, penisopodobnym kształcie. Przelotny niepokój Barbary wzbudziły co prawda stosunkowo grube patyki, na których umieszczono zasadniczą, przeznaczoną do konsumpcji, część delikatesu, lecz uznała, że nie powinno jej to w niczym przeszkodzić.

Czym prędzej wróciła do mieszkania, włożyła swe skarby do zamrażarki,

by nabrały odpowiedniej twardości, a gdy upewniła się, że już są takie jak lubi, nie pomna zasad BHP władowała sobie od razu dwa, dzięki czemu mogła manipulować nimi na zmianę. W ten sposób szybko osiągnęła megaorgazm, potem drugi i trzeci.

Lody zdążyły się roztopić, jednak w szale rozkoszy nie zauważyła tego, wbijając sobie w delikatne ciało coraz więcej drzazg.

Macica kurczyła się i rozprężała w gwałtownych spazmach rokoszy, drzazgi, pompowane krwią, przepłynęły żyłami aż do serca, a później do głowy panienki, gdzie, po długich poszukiwaniach, natrafiły wreszcie na mózg. Wbiły się weń bezlitośnie, podziurawiły, poszatkowały, przekształciły w niezdolną do myślenia galarete...

Barbara umarła szczęśliwa.



Dawid Kain

Lokalizacja: Kraków

Styl bizarro: literatura wywrotowa **Publikacje:** liczne i śmieszne, ostatnio np. powieść „Gęba w niebie” (wyd. Nisza 2010 r.) **Opis:** „duży a głupi” – jak powiedział o nim kiedyś William Shakespeare **Wpływy:** Beckett, Borges, Burroughs, Cronenberg, Cobain, Danielewski, Dick, Ellis, grzybki halunki, Hall, kaszka smakija, Keret, Koja, napój mountain dew, Reznor, South Park, Vonnegut, widok jeży, radośnie toczących się po zboczach o zachodzie słońca, Wojacek, worki na ofiary.

[Źródło snów](#)

Podobno każdy sen ma dwa końce. Ludzie oczywiście świadomi są tylko tego, co zakotwiczyło ich głowach, nie mając bladego A pojęcia, że nocne marzenia i koszmary mogą w najdziwniejszy sposób wpływać na rzeczywistość, czasami bezpowrotnie zmieniając bieg historii.

– Jestem cholernym bogiem! – wykrzykiwał Adam Sanicki w przyływach megalomanii, która przejmowała nad nim kontrolę w chwilach największych życiowych sukcesów.

Choć zabrzmiało to absurdalnie, w jego słowach nie było dużej przesady. Już na drugim roku fizyki został stypendystą Fundacji Hawkinga, która wybitnym młodym naukowcom gwarantowała rocznie dwadzieścia tysięcy euro. Jego napisana na czwartym roku książka „Ważka historia masy” została uznana za jedno z najważniejszych dzieł od czasu „Principia mathematica” Newtona. Gdy w wieku dwudziestu sześciu lat rozpoczął pracę we własnym laboratorium przy Instytucie C.E.R.N., było już wiadomo, że Sanicki będzie jedną z czołowych postaci świata nauki w dwudziestym pierwszym wieku.

Jego eksperymenty dotyczące czarnych dziur i stabilizacji tuneli czasoprzestrzennych mogły nieodwołalnie zmienić los gatunku ludzkiego. Oto wreszcie pojawiła się szansa, że w perspektywie najbliższych dwóch-trzech dekad będziemy mogli podróżować nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie.

Choć życie zawodowe Sanickiego było pasmem nieustających sukcesów, jego życie towarzyskie właściwie nie istniało. Wystarczy powiedzieć, że ten megalomański geniusz był też dręczonym nałogiem onanizmu prawiczkim. Stosunki z kobietami, mężczyznami czy choćby zwierzętami domowymi odbywał jedynie w snach... a te stawały się coraz dziwniejsze.

Pewnej nocy przyśniło mu się, że zakochał się w kobiecie, która kiedyś pozbawiła go dziewictwa. Mianowicie: we własnej ręce. Nazywał ją Renata. Uczucie było tak silne, że w końcu Adam postanowił poprosić własną rękę o rękę, a ona się zgodziła. Ich ślub był wspaniałym wydarzeniem: kilkuset gości, Sanicki w drogim garniturze Armani, a Renata – owinięta welonem od nadgarstka po łokieć. Noszący skórzaną sutannę z ćwiekami ksiądz życzył im wszystkiego dobrego, tylko chwilami mamrocząc coś, co brzmiało jak: „może pan poćwiartować pannę młodą”; a błogosławiąc, kilkakrotnie nakreślił w powietrzu kształt pentagramu.

Choć noc poślubna Adama i jego ręki nie była bynajmniej ich pierwszym razem, to Sanicki czekał na nią jak na zbawienie, bo Renata już wcześniej

obiecała, że zrobi mu dobrze jak nigdy dotąd.

– Kocham cię. Nie opuszczaj mnie aż do końca świata – wyszeptał Sanicki, wpychając język w zaciśniętą pięść.

Później przyszło najlepsze. Renata zaczęła go pieścić, z większą wprawą niż zwykle, na początku powoli i czule, a potem coraz bardziej energicznie. W końcu dłoń Sanickiego poruszała się już tak szybko, że jej kształty straciły ostrość, a ona sama przeistoczyła się w rozedrganą chmurę o barwie skóry.

– Już prawie, kotku! – wykrzyknął Adam.

I wtedy, niespodziewanie, jego ukochana Renata przekroczyła prędkość światła, załamując się w półprzejrzysty tunel czasoprzestrzenny, który na moment wessał w siebie członka Sanickiego, sprawiając mu rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał żaden człowiek.

Kilka sekund później geniusz obudził się. Jądra bolały go, jakby przejechał po nich walec, a dłoń drżała spazmatycznie, targana kolejnymi skurczami.

– Dokąd mógł prowadzić tamten tunel? – zastanawiał się Sanicki w drodze do pracy, marząc, że jego nasienie dryfuje teraz w najodleglejszych zakątkach Wszechświata, może w przyszłości, może w przeszłości, a może w którejś z równoległych czasoprzestrzeni.

Mimo wyjątkowej bystrości umysłu, Adam Sanicki nigdy nie śmiał przypuszczać, że Czas to w rzeczywistości bardzo ironiczny „żywiol”, lubiący płać najwykwintniejsze figle. Może to oczywiście nie mieć żadnego związku z erotycznym snem naszego bohatera, ale dokładnie dziewięć miesięcy później i jednocześnie ponad dwa tysiące lat wcześniej, w Betlejem dziewczyna niespodziewanie urodziła dziecko.

Krawiec

Choć dzień był jeszcze młody, mój wkurw już sięgał zenitu, doprowadzając krew do wrzenia, mózg do kipienia, a serce do W palpitacji. Bo ktoś zaszył mi rękawy.

No masakra!

Poniedziałek, pobudka, robota wzywa, trzy budziki naraz ćwierkają jak głodne pisklęta, choć każdy w innej tonacji, telewizja i radio równolegle głoszą zagładę, za oknami osiedlowi prorocy leczą poweekendowego kaca, a ja nie mogę się zmieścić w ulubioną bluzę. Wcale nie z powodu nagłego utycia, o nie, ja nie z takich! Tylko z powodu tych kurewskich rękawów, które ktoś zaszył, kiedy spałem niesmacznie, a w mej głowie toczyły się jakieś przedziwne wojny, koszarne batalie ze snami.

Nie lubię niespodzianek, szczególnie tak nefajnych.

Nie lubię też poniedziałków.

Zamiast iść do pracy, usiadłem na podłodze i cały nieboży dzień płakałem. Mam to do siebie, że byle drobnostki kompletnie wy-prowadzają mnie z równowagi. Załamanie nerwowe wciąż czai się w pobliżu, jak cień, mój jedyny wierny towarzysz, jedyne stworzenie, które regularnie wyprowadzam na spacer. Nie wiem, skąd się to bierze, czy to kara, czy jakiś genetyczny szkopał, literówka w sekwencji DNA, czy może za anioła stróża przyznano mi Belzebuba, czy jeszcze coś innego.

Nie wymagam cudów, ale też zaczęlibyście narzekać, gdyby los każdego dnia tak mocno kopał was po tyłku, że aż odbijałoby się wam zeszłorocznym karpem.

Płakałem więc całymi godzinami, a życie tymczasem toczyło się dalej...

Wieczorem zadzwonili z redakcji „Łgarstwa”: – Panie Dawid, pan sobie sadzisz kwiaty na własny nagrobek!

– Ale że teraz co tym razem? – odparłem.

Głos mi się łamał, przypominał lament. Kiedy ogarnia mnie tak głęboka frustracja, każdy kontakt z drugim człowiekiem jest dla mnie niczym kopulacja z jeżozwierzem, nie przesadzam. Dlatego staram się unikać zarówno ludzi jak i stresujących sytuacji.

Unik-man – tak właśnie bym się nazywał, gdybym został komiksowym superbohaterem. Zaproszony kiedyś na studniówkę koleżanki, symulowałem AIDS. Przed kolacją u rodziców byłej dziewczyny, zmieszałem Validol ze srogą dawką barbituranów, byleby szybciej wyjść z tego nieudanego spektaklu.

Zaprawdę powiadam wam: co macie zrobić dziś, puśćcie w niepamięć!

Łzy, które produkowałem od rana, zmieniły drastycznie poziom wilgotności w mieszkaniu. Było tu niemal jak w oceanarium. Okna

pokrywała mgielka, niczym delikatna zasłonka, utkana z mojego smutku i żalu, przesłaniająca cały zewnętrzny świat. O tak, powinienem napisać o tym jakieś haiku. Powinienem nagrać o tym piosenkę dla emo-dzieciaków i stworzyć teledysk z tańczącymi na nadgarstkach żyłkami. O tak, to jest plan.

– Pan miałeś być dzisiaj i wymyślać historie o gwiazdach, aleś pan nie przyszedł i wszystkie bajki musiał na oczekaniu wy-iskać z głowy Tadek.

– To źle? – zdziwiłem się, rysując palcem smutne buźki na zaparowanych oknach.

O ile mi było wiadomo, wspomniany kolega lubił swoje zajęcie i starał się osiągać jak najlepsze rezultaty. Że używał wody Brutal zostawmy na marginesie, gdyż nie zapach świadczy o człowieku, nie woń liczyć się będzie na Sądzie Ostatecznym, miejmy nadzieję.

– Tadek nie ma pańskiej wyobraźni. Przez to kolejne wydanie będzie znacznie uboższe niż zazwyczaj. I z błędami. Gdyż on napisał na przykład, że wszyscy członkowie rządu są jedną i tą samą osobą, która zakłada różne maski i manatki, i na dodatek manipuluje swoim wzrostem, ponieważ ma rozpoczwarzenie jaźni.

– Czym jest rozpoczwarzenie, do kurwy jasnej?! – zdziwiłem się, drugi raz z rządu. Mimo że polszczyzna była dla mnie chlebem powszednim, kromki o takiej nazwie jeszcze nigdy nie skosztowałem. Zdawała się dość czerstwa, na pierwszy rzut ucha, przyznajcie sami. Czyżby Tadek nawalił na całej linii? Czyżby postradał resztki talentu?

– Tego nie wie nawet sam zainteresowany. On ma najwyraźniej problemy z odmianą i skłonność do semantycznych nadużyć niemałego kalibru. Powody można mnożyć. Wysoki stopień frustracji, napady melancholii oraz czkawki. Plus żona go zdradza z sąsiadką. Dopiero po ślubie wyszło szydło z lesbijki. Tego się nie spodziewał, biedak. Przez co teraz mieszają mu się we łbie różne wyrazy, różne definicje, konwulsyjne słowotwórstwo ma go w niepodzielnym władaniu. Chodziło prawdopodobnie o to, że tamten członek rządu ma tyle rozmaitych osobowości, że już sam się w tym pogubił, i mimo że jest – przypuszczalnie – mężczyzną, zaczął dostawać owulacji. Taka pointa. Taki twist. Tadek miał na ten tekst tysiąc znaków, toteż ciął gdzie się dało. I całe tamto zdanie skrócił do dwóch słów „rozpoczwarzenie jaźni”. Ty byś to lepiej ujął – Nagle przeszedł na „ty”, co robił tylko wtedy, gdy się denerwował.

Też się od razu zdenerwowałem.

Też bym prawie dostał owulacji z tego całego stresu, a nawet zaszedł w ciążę, a nawet wystrzelił w świat serię embrionów: rumianych i rozwrzeszczanych.

Zamknięcie gazety byłoby dla mnie tragedią osobistą, gdyż nie miałem żadnych innych widoków na przyszłość zawodową, w żadnym innym piśmie. Pragnąc szybko podać powód mojej nieobecności w pracy, przez przypadek wygadałem całą prawdę: – No, szefie, ja przepraszam, ale ktoś zaszył mi rękawy i o matko!

– Jak cię jutro nie będzie w redakcji, to wylot na zbitą twarz.

– Bić mnie pan chce? – zląkłem się, aż gęsia skórka w ciągu paru sekund pokryła całość mej ziemskiej powłoki. Szef kiedyś już jednemu z dziennikarzy wybił wszystkie zęby, kiedy tamten chciał mu wcisnąć fotkę arbuza owiniętego czarną folią jako nowego, adoptowanego dziecka Angeliny Jolie. W tym fachu trzeba być ostrożnym, by nie przekroczyć cienkiej granicy dzielącej zwykłą bzdurę od bzdury megaoczywistej.

– Tak się tylko mówi. W tym kraju nie ma przemocy, zaledwie dobre chęci. Ja mam szczerą ochotę przebarwić ci oczy na sino–smutny kolor, co nie znaczy, że akurat to uczynię. Mówić mogę. W ogóle gadanie to piękna sprawa. Mowa jest srebrem, a milczenie błotem. Ale, ale! Napiszesz parę bajek w rodzaju „Alicji po drugiej stronie lustracji” i ja się momentalnie zacznę z tobą przyjaźnić. Jak za starych, dobrych czasów. Słowo naczelnego tygodnika „Łgarstwo”! Stoi?

– Muszę sprawdzić...

– Chodzi mi że: czy to panu pasi? – Powrót do „pan” sugerował koniec burzy w głowie rednacza, a zarazem zmniejszenie się w moim organizmie ilości adrenaliny, regularnie demolującej mnie od wewnątrz, czyniącej w żołądku i umyśle różnorodne kwasy i niezbyt miłe zagrania. Nerwowy był ze mnie człowiek, krótko rzecz ujmując.

– Aaa! Pewnie, pewnie. Jutro będę. A jakby coś ten tego śmego, to jestem pod komórasiem.

*

Wtorek.

Zakładając spodnie, upadłem boleśnie na kupiony podczas wyprzedaży

zestaw kina domowego, prawym poślądkiem nieopatrznie włączając TV Ostoja, krajowy odpowiednik zbliżonych tematycznie, teleewangelicznych kanałów zza oceanu: – Nie będą masoni pluli nam w twarz, nie damy pogrześć wiary... – śpiewał tam zgodnie chór złożony z osób przeróżnego wyglądu i proveniencji.

Pomyślałem zaraz, że ta stacja jest jedną z ostatnich trwałych rzeczy w naszej płynnej rzeczywistości, tej rzece materii i idei przepływających nam między palcami. W wyobraźni widziałem poszczególne atomy, ludzi, miasta, państwa, kontynenty i planety zmierzające równocześnie do jednej wielkiej kraksy, kosmicznej katastrofy.

Lecz potem, gdy tylko uświadomiłem sobie, czemu zawdzięczam mój nagły przewrót przy ubieraniu spodni, momentalnie przeszła mi ochota na rozważania o przemijaniu i galaktycznych karambolach.

Bowiem ktoś zaszył mi nogawki!

Nooo jaaa cięęę pierdolęęę...

Żal ścisnął mnie równocześnie za dupę i gardło.

Rzuciłem wzrokiem na bluzę, wiszącą na wieszaku, niczym truchło, z zaszytymi na amen rękawami. Do niczego się już nie nadawała, chyba że na szmatę. A taka fajna była. Czarna, z naszywką. Firmowa... Miałem ją od lat!

Chciałem płakać, ale wszystkie łzy wypłynęły ze mnie wczoraj, a teraz ponownie skraplały się na suficie, jakby chciały uciec do sąsiadów z piętra wyżej, tych, co to się nocami wyzywają od ubeków i pederastów. W kanalikach łzowych panowała susza, piach tkwił pod powiekami. Emocjonalna Sahara. Wiele było we mnie zniszczonego. Wiele było we mnie uczuciowych ruin, pogorzeliisk i tak dalej.

Nie ma Boga na tym świecie! Najpierw ulubiona bluza, teraz spodnie, też zresztą ulubione. Szwy pełzły przez nie jak strzała przez serce. Bez ani nitki litości dla mojej skromnej osoby. Kto mógł mi zrobić coś aż tak okrutnego, no kto?! Zresztą, jeżeliby tak to wszystko podsumować, od zawsze prześladował mnie nieziemski pech. Moją pierwszą i jedyną powieść odrzuciło stu czternastu wydawców, moja pierwsza i jedyna żona była wtopą jakich mało, a i ja sam mogłbym się określić mianem wyjątkowo niewydarzonego przypadku, splotu ułomności fizycznych i intelektualnych. Obecnie przy życiu trzymała mnie wyłącznie praca.

Zdając sobie sprawę, że jeśli i dziś nie pójdę do roboty, zasiłę grono zasiłkowców lub zostanę zmuszony do zarobkowej emigracji, postanowiłem

działać. Choć podobno w Kenii szukają barmanów i uczciwe płacą...

Ubrałem się w pierwszą lepszą rzecz wyjętą z szafy i wybiegłem z domu i wskoczyłem w tramwaj i tam...

...Tam dopiero wyszło na jaw, że z tym pośpiechem, to było jednak trochę poronione, by nie rzec: porąbane.

Współczujący wzrok pasażerów, skierowany na mnie, świadczył niezbicie, że coś ze mną jest nie do końca wporządku. Że niespodziewanie stałem się magnesem przyciągającym spojrzenia gapiów, co wcale nie było w planie. Jeśli bowiem o mnie chodzi, to pragnąłbym być jednocześnie Gal Anonim i Niewidzialny Człowiek. Przezroczysty jak idealny polityk. Taki, który na dodatek nigdy nie urządza konferencji prasowych, ani nie pozuje przed obiektywami aparatów czy kamer. Spośród osób toczących swe życie piórem bądź klawiaturą, na myśl przychodził mi jedynie Thomas Pynchon. Czy nawet on sam wiedział, jak wygląda?

Ja też chciałem być kimś takim!

Popatrzyłem po sobie.

Ach...

Ubranie żony.

Więc stąd ten ambaras.

Kto by pomyślał, że będzie pasować! Wyglądałbym całkiem apetycznie, gdybym ogolił wcześniej klatę i nogi. Spieszę wyjaśnić, że małżonka pół roku temu wyjechała do Afganistanu nieść pomoc ofiarom wojny. Niosła ją przez jakieś dwa dni, gdyż dokładnie czterdzieści osiem godzin po przekroczeniu granicy samochód, którym podróżowała – ponoć Hummer, choć jajeczek bym sobie za to nie dał uciąć – wjechał na minę. Jej kolegom i koleżankom z akcji humanitarnej zaraz zrzędyły uśmiechy.

Bum! Sześć ofiar śmiertelnych.

Jeb! Wszystkie momentalnie telewizje, radia, gazety. Zdjęcia, reportaże, nagrania. Wszędzie ona: jeszcze wczoraj taka ładna, a już dziś taka martwa.

I nagle media wałą do mnie – oknami, drzwiami, rynnami i kominami – jakbym się cokolwiek orientował. No panie, no panowie! Zachowaliby odrobinę taktu... Przecież to od nich się o całym zejściu dowiedziałem. Podobno ręka mojej żony dofrunęła aż do pobliskiej wioski! Znaleźli ją na dachu jakiejś szopy.

Ależ pyszna rozwałka! Cóż, nigdy jej nie kochałem. Nie mówię o ręce, lecz o mojej połowicy. Kończyny nigdy nie są niczemu winne – powtarzam.

Żoną zaś strasznie gardziłem. Bo to zła kobieta była. Jaka szkoda, że po pogrzebie zapomniałem wypieprzyć z domu sterty jej fatalachów. Teraz, w efekcie, wracają wszystkie te wspomnienia, pełne bólu, wzbudzając na twarzy grymas godny przedszkolaka nad michą przebrzydłej kaszki. Gdyż ona mnie maltretowała: fizycznie i psychicznie. Żona, nie kaszka. Na zewnątrz Matka – dosłownie – Teresa, w środku zaś przyczajony Markiz, ukryty de Sade. Kombinacja, która z niejednego mężczyzny uczyniłaby skamlący o litość kłębek nerwów, bez ustanku dżgany nie-widzialnymi pazurami weltschmerzów różnego rodzaju.

W redakcji nikt nie zwrócił uwagi. Zawsze mieli mnie za artystę wysokiej klasy, a przecież każdy ma taką autopromocję, jaką sobie wyczarował, nieprawdaż? Nie wkładajcie nosa w nieswoje ciuchy, jeśli wam cokolwiek miłe, dobrze radzę!

Bez dalszego jęczenia wziąłem się do roboty. Napisałem parę tekstów, starając się wymazać z pamięci wszelkie niepowodzenia: „Paris Hilton puszcza się na Okęciu”, „Premier jest z pochodzenia wodorostem”, „Ewa Drzyzga to niemowa”,

„Biskup molestowany przez zgraję ministrantów pod dowództwem wiewiórki”.

„Platon był tylko odmianą inteligentnego planktonu”.

Takie tam...

Nagle zrobiłem się rozkojarzony.

Raz po raz patrzyłem za okno, gdzie Kraków rozciągał się w takiej dumno-pawiej okazałości, że miejscami chyba poszły mu oczka – widziałem otchłanną czerń przebijającą spod spiętrzonego betonu. Mrugała do mnie. Drzewa były jak kłęby włóczki szarpane przez wiatr. Wyżej ptaki leciały kluczem, niczym gigantyczny ścieg łączący jeden kawałek nieba z drugim.

W głowie cały czas dudnił jakiś cholernie denerwujący dźwięk.

Jakby ktoś mi wstawił maszynę do szycia między uszy.

*

Cisza przed środą.

Noc spokojna, mimo igieł, które w snach szyły moje ciało z pasków tkanek, leżących na kuchennym blacie. Zszywały je całkiem same, bez pomocy czyjejkolwiek dłoni. Gdy obudziłem się, byłem jak szmaciana lala.

Pod skórą czułem trociny i siano.

Byłem mięciutki w środku. Coś tam, wewnątrz, przesypywało się przy najdrobniejszym nawet ruchu. Niczym w klepsydrze, by być obrazowym.

Ktoś mi się w nocy nagrał na sekretarkę: „Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw...”

Kolejny maniak.

Skasowałem wiadomość bez zastanowienia.

Kiedyś wydzwaniał do mnie facet podający się za diabła. Bez kitu! Twierdził, że robi w reklamie, bo teraz takie czasy, że nawet nadnaturalne istoty szukają sobie jakiejs pracy, jakiegoś w miarę uczciwego zajęcia. Pytał, czy wiem, jak samotny jest w dzisiejszym świecie Szatan, jak mała jest jego wiara w samego siebie, gdy wszystko wokół stacza się w kierunku własnej otchłani.

– Słuchaj, stary, to nie jest pokój zwierzeń, tylko mieszkanie prywatne. Ile razy mam powtarzać?!

– Wcześniej nie miewałem depresji. Teraz muszę walić z rana duży Efectin, a z wieczora mały Zolafren. Ja myślę, że tu chodzi o szeroko pojętą współczesność. Naszym głównym problemem jest czas, w którym żyjemy. Brak większych konfliktów zbrojnych, brak prawa do odwetu. To wszystko kumuluje się w ludziach i oni po prostu wariują. Niekiedy słyszę ich myśli, jedno wielkie skuczenie i ujadanie. Jeden wielki szum medialny. Gdybym chciał nagrać płytę opowiadającą o początkach tego stulecia, musiałbym kilkadziesiąt minut tylko wrzeszczeć do mikrofonu.

Nic więcej... Tyle bólu. Tyle żalu i strachu. Któż by to zmierzył?

W robocie zapominam, ale potem...

– A co mnie to, do diabła, obchodzi?! – krzyknąłem, rzucając słuchawką.

Więcej nie dzwonił.

Źle się czułem, bardzo źle, napisałem więc maila do naczelnego, czy mógłbym popisać w domu.

Odesłał mi milion wściekłych emotikonów, trzy smutne – w osobnym akapicie, a na końcu słowo „Dobra”.

Dziwny człowiek. Podobno stał się taki przez wojnę. Był wtedy dzieckiem i widział różne rzeczy. Niekoniecznie dobre. Kiedy myślał, że jest sam, powtarzał: „Wciąż nie mogę w to uwierzyć”. Często masował kciukami gałki oczne, jakby chciał się do końca wybudzić z koszmaru, w którym tkwił. Czy kiedykolwiek mu się udało? Tego nikt w redakcji nie wiedział. Szef śnił swój

własny sen, w którym my, podwładni, byliśmy tylko postaciami drugiego planu.

Szukałem w podświadomości ciekawych historii, ale w jednej sekundzie wymyśliłem ich tyle, że aż przeszły mnie dreszcze.

Wstałem z fotela, by zrobić sobie kawę.

Moje myśli rwały się, skacząc z akapitu na akapit, a to nigdy nie sprzyja prowadzeniu udanej narracji.

Cała kuchnia pachniała czasem przeszłym, jeśli wiecie, o czym mówię. To, co minione, jedzie zużytą elektrycznością. Znacie taką woń? Jeśli nie, kiedyś poznacie. Na każdego przyjdzie pora.

Obudzicie się wczorajsi albo przedwczorajsi, a całe otoczenie będzie wam ziało w nozdrza swą nieaktualnością. Żaden upgrade, ani update nie pomoże. Nie ma bata. Poczujecie pętlę czasu na szyi i pożałujecie, że w ogóle się budziliście. Mnie się to często zdarza. Taka mała Strefa Mroku dostarczana do mieszkania nawet bez specjalnego zamawiania.

W pojemniku, gdzie zazwyczaj trzymałem kawę, odnalazłem tylko kłębek różnokolorowych nici.

Z kolei w cukiernicze jeżyły się igły.

Ktokolwiek robił mi te żarty, nieżył z niego cwaniak.

Rozejrzałem się wokół, ale nie odnalazłem żadnych tropów, żadnych śladów, które mogłyby mnie na cokolwiek naprowadzić. Jeśli to miał być kryminał, to wyjątkowo niefortunnie pomyślany. Jeśli thriller – prawdziwych dreszczyków było jak na lekarstwo. A jeśli horror, to być może już byłem martwy, więc tak czy siak – nevermind.

Wróciłem za biurko, by poważnie zabrać się za pisanie rzeczy niepoważnych.

Jednak bez kofeiny to już nie było to samo.

„Minister Finansów jest krawwwwwwwww”

Miałem napisać: „krawcem”. Ale nie byłem w stanie. Każda próba wystukania tego przeklętego słowa na klawiaturze kończyła się niepowodzeniem: palce mi się plątały, myliłem litery, dostawałem nagłych drgawek.

Po paru minutach spostrzegłem na ekranie zdanie, którego w żadnym wypadku nie planowałem tam umieszczać: „Minister Finansów jest w Warszawie”.

Oburzyłem się, gdyż była to prawda. Nie po to miesiącami starałem się o

etat w „Łgarstwie”, żeby teraz wypisywać takie brednie! Fakty były dobre może w wieku dwudziestym i poprzednich, jednak teraz zupełnie się nie sprawdzają.

Walałem kilka razy w „backspace” i wprowadziłem drobną korektę:
„Minister Finansów jest gejem”.

Odchyliłem się w fotelu, kontent z pomysłu i spodziewanych kontrowersji, jakie tym tekstem wywołał.

Gdy przypomniało mi się, że wspomnianą funkcję pełni przecież kobieta, dobiegł mnie nieoczekiwanie bardzo niepokojący odgłos, jakby coś... przewlekano. Jednocześnie poczułem mrowienie w dolnej części twarzy. Było to bardzo, ale to bardzo przerażające, gdyż podejrzewałem, że właśnie zaczynam w ten sposób tracić twarz, co z racji wykonywanego zawodu i tak mnie prędzej czy później czekało.

Niezwłocznie pobiegłem do łazienki, żeby tam, w lustrze, ocenić sytuację.
Była kiepska.

Choć to mało powiedziane!

Lewą dłonią unosiłem wargi, palcami naprężając skórę, prawą zaś – przy użyciu igły i nici – zaszywałem sobie usta.

Chciałem przestać, ale ręce pracowały na własny rachunek.

Zacząłem wrzeszczeć i kłać, po chwili już tylko półgębkiem.

Sąsiedzi z dołu walili w sufit, żebym się uciszył. A ci sąsiedzi to w ogóle osobny temat...

Spełniłem ich życzenie, jednocześnie tracąc przytomność.

*

Budziki znów szaleją, jest czwartek.

Nie wiem, ile godzin mi uciekło. Sądzę, że wiele.

W mojej głowie wojna, chaos, panika, deptanie racjonalnych myśli przez te najbardziej absurdalne.

„Dawid, ty jesteś tylko postacią literacką!”

„Nic nie jest prawdą”.

„Dawidzie, kosmici cię porwali i sprawdzają, jak wiele możesz znieść”.

„Kain to Żyd, gej i mason, ale na niego też przyszła pora i teraz galopujące szaleństwo wywiozło go gdzieś na rubież materialnego świata, w strefę, gdzie wpływy schizofrenii i normalności boleśnie się równoważą”.

Niech mnie piorun zgwałci, jeśli ostatniego zdania nie wypowiedział Wołoszański!

Tego już za wiele! Za wiele tej paranoi, umysłowej gonitwy, tych wszystkich chorych pomysłów, które zdeformowały mój życiorys w coś na kształt Plastusiówego Pamiętnika, tyle że w wersji hardcore. Ja jestem zdrowym człowiekiem robiącym w nienormalnym zawodzie, ale to chyba nie znaczy, że moje szaleństwo jest drogą jednokierunkową, bez zatoczek i zjazdów. Muszę przywrócić normalność. To jest nóż – muszę powtarzać – nóż służy do krojenia chleba. To jest z kolei masło, rzecz jak najbardziej jadalna, nie zaś wspomagacz stosunków analnych. A to jest krzesło, przedmiot znacznie mniej jadalny, ale za to pasujący nam do tylnej części ciała...

Słyszę dzwonek komórki, niesamowicie daleko, a jednocześnie nieludzko blisko.

Jestem pewien, że to naczelny z nową porcją gorących opierniczów i serdecznych połajań.

Czy telefon jest w lodówce? – zastanawiam się.

Myśl absurdalna, lecz wszystko jest właśnie takie, po wnikliwej lekturze Becketta i Kafki.

Sprawdzam.

Znajduję jednak tylko sporą bryłę lodu, w której ktoś – na pewno nie ja – zamroził igłę z nicią, niczym prehistoryczne stworzenie, zahibernowane w oczekiwaniu na lepsze czasy.

Komóraś wciąż dzwoni i wibruje tak blisko, że odczuwam to niemal fizycznie.

A może wcale nie niemal...

Powoli unoszę koszulkę, którą zwykłem nosić w mieszkaniu.

Aby pokazać, że robię to naprawdę wolno, opiszę wam tego t-shirta. Jest on szaro-czarno-biały, czyli generalnie rzecz biorąc w kolorze zakłóceń telewizyjnych, szumów w eterze, tego typu rzeczy. Ma z przodu naszywkę z napisem „Little Psychos” i rysunek zamaskowanego mordercy, trzymającego zakrwawioną piłę motorową. Rozmiar XXL. Koszulki, nie piły, mimo że i ta ostatnia jest słusznej wielkości. Podwijam ją do wysokości klatki piersiowej, a jednocześnie, ruchem symultanicznym, moja szczeka opada z prędkością około dwóch milimetrów na sekundę, co mógłbym przedstawić za pomocą wykresu, gdybym miał teraz flamaster.

Komórka jest.

Owszem, znalazła się.

Wciąż dzwoni, wciąż wibruje.

Szkoda tylko, że znajduje się pod moją skórą, bowiem jakiś dowcipniś najwyraźniej zaszył mi ją w brzuchu. Na szczęście niezbyt głęboko – widać ciemny kształt pod bladą tkanką.

Zdając sobie sprawę, że jeśli nie odbiorę, stracę robotę (tym samym – jak wspominałem – zasilając grono zasiłkowców lub skazując się na emigrację, na stanie się jednym z uczestników zarobkowego exodusu) – biegnę do kuchni. Nie kieruję mną głód, lecz chęć pozostania na etacie w redakcji „Łgarstwa”. Nie jest to może pismo z najwyższej półki, ale też nie żadna gazetka szkolna ani periodyk erotyczny, do którego bonusowo dodaje się wibrator.

Otwieram pierwszą lepszą szufladę, wyciągam nóż i dynamicznie wbijam go sobie w miejsce nieco powyżej pępka.

Nie czuję bólu.

Zupełnie.

Jestem drętwy jak seriale nadawane przed osiemnastą.

Przeciągam ostrze w górę, rozpruwając się na przestrzeni kilku centymetrów.

Zamiast krwi wylewa się ze mnie coś ciemnego...

Atrament? Tusz? Kawa?

Nóż upada na podłogę.

Wkładam dłoń w ranę i wywlekam ze środka telefon.

Łapska mam całe upaprane.

Co za syf!

Odbieram.

– Przepraszam szefie, ale ktoś... – próbuję wytłumaczyć.

Lecz żadne słowa nie padają.

Coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Z taką cenzurą jeszcze się nie spotkałem.

W słuchawce obcy męski głos powtarza raz po raz: „Fałszywe świadectwo, fałszywe świadectwo, fałszywe...”

Palcami dotykam twarzy. Boję się tak niesamowicie, że wzdłuż linii kręgosłupa ciało zaczyna mi drętwieć coraz bardziej. Odrętwienie rozchodzi się promieniście, kończyny stają się obcymi bryłami, którymi coraz trudniej

sterować.

Wargi mam złączone grubymi szwami. To dlatego nie mogę mówić.

Nie mogę też krzyżeć, mimo że teraz niczego bardziej nie pragnę.

„Falszywe świadectwo, fałszywe...”

Rzucam telefonem o ścianę. Rozpada się w drobne kawałki.

Podnoszę z podłogi kuchenny nóż i jego ostrzem „reperuję” sobie usta. Ciężkie krople atramentu spływają mi po brodzie, kapiąc na koszulkę. Śmierdzą zużytą elektrycznością. Śmierdzą czasem minionym.

Upływa parę sekund i operacja kończy się pomyślnie.

O jej pełnym sukcesie świadczy mój wrzask, który przesywa osiedle niczym igła tkaninę.

Cały w ciężkich do usunięcia plamach, z nerwami w strzępach, urojeniami płaczącymi się w czaszce, jadę czym prędzej tramwajem do redakcji. Pasażerowie nie patrzą już na mnie ze współczuciem ani zdziwieniem, jak ostatnio. W ogóle nie patrzą. Ich powieki są pozszywane podwójnym ścięciem. I szkoda tylko, że podobnie nie jest z ustami. Bo cały czas szepczą, gadają, gadają, gadają. Same brednie, same kłamstwa. Powtarzają historie, które kiedyś wymyśliłem:

– Słyszała pani, że ten cały premier to jest podobno wodorostem?

– A, nie wiedziałam, nie wiedziałam. Ale jak ostatnio był w telewizji wywiad, to faktycznie taki z twarzy wydał mi się zielonkawy.

– Ponoć zapuścił korzenie w Warszawie.

– No jak to?! A spotkania zagraniczne, a wyjazdy?!

– Wszystko odwołali. Premier zaszył się na dnie jakiegoś jeziora i tam ma zamiar dokonać żywota swojego, amen. W gazecie było napisane, że boi się już tylko Boga i glonojadów.

Nie chcąc popsuć sobie oczu wyglądem ich twarzy, opuszczam wzrok. Podłoga jest brudna i drży, pokrywają ją strzępy gazet, z których nieustannie spadają litery, jak czarne robactwo. Czuję, jakby to ze mną było coś nie tak i w sumie nie jestem daleki od prawdy. Ale kto z tu obecnych jest bez winy, niech pierwszy rzuci we mnie drutem od robótek, czy co tam ma pod ręką, zapraszam.

*

W redakcji bałagan. Naczelnny jest wkurzony, bo wieść niesie, że ktoś z

góry chce zamknąć nasz tygodnik, opuścić cenzorską klapę na nasz mały kibelek. Tadek siedzi w kącie i – sącząc mountain dew – bredzi o zależnościach między prawdą a fałszem: – Tu nie chodzi o żaden paradoks kłamcy, ale my chyba nie damy rady się z tego wyplątać. Zobacz, jak to działa, Dawid. Jeżeli ktoś jest łgarzem, to każde wypowiedane przez niego słowo robi się natychmiast podejrzane. On przebarwia cały język, którego używa, wszystko staje się możliwe, ale nie w rzeczywistości, lecz w jego opowieściach. Skąd rozmówca ma wiedzieć, co jest faktem, a co nie? Przecież to wszystko bajki! Jednak teraz, teoretyzując, odwróćmy sytuację. Jeśli ktoś ma pracę polegającą na wymyślaniu nieprawdy, to czy tym samym nie grozi mu sprzężenie zwrotne. Może tak przesiąknie tymi wszystkimi bredniami, że sam stanie się brednią? Dawid, jak się zapatrujesz na to, co powiedziałem?

– Tak się zapatruje, że aż mu gały wyliniały i wysiadły z oczodołów – wtrącił rednacz. Nieziemski wkurw miotał nim i targał.

Twarz miał czerwoną, policzki zapadnięte, brwi jak kopnięte znaki zapytania. – Tadek, przygłupie, weź się wreszcie do roboty.

Word otwarty, a ty zamiast łać wodę we właściwym oknie, wylewasz te swoje pomyje na nas.

– Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł. – mówię. – W sam raz na trzecią, czwartą stronę. Możemy go podciągnąć pod politykę?

– Wszystko można teraz podciągnąć pod politykę – odpowiada szef, nadymając wargi.

– No to siadaj, Tadek, i hejże dalej w rozważania. A żeby wygenerować większy target, wetknij tam dla przykładu właśnie jakiegokolwiek polityka, który tak wczuł się w swoją rolę, że umarł, gdy mu się skończyła kadencja. Słabe? Albo w inny deseń – że oszukiwał tak długo, że nawet śmierć oszukał, co? I żyje już trzysta lat. Albo że wziął obola za łapówkę i łyknął bez mrugania...

– Dawid, jesteś geniuszem. Ale nawet to nas nie uratuje. Na-kład spada. Dostajemy listy z pogrózkami. Emerytki chcą mieć z Tadkiem dzieci. A dzieci chcą mieć z nim emerytki! Gówniarze nasze historie przerabiają na komiksy. Zacieki na szybach układają się w twarze świętych, ale podejrzanie śmierdzą tanim alkoholem. W Tatrach niedźwiedź zgwałcił sarnę. Absurd i nonsens.

Patos i mentos. Słowem – tu już nic się kupy nie trzyma, nawet fekalia. Na

dodatek cenzura ma nas w garści. Podobno parę razy napisaliśmy prawdę. Jeśli tak było w istocie, nawet Maria Panna nam nie pomoże.

– Wydaje mi się, że mam halucynacje – powiedziałem, przerywając jego narzekania. – Widzę rzeczy, o których nie śniło się naszym redaktorom.

– Jak atrakcyjne zakonnice?

– Bardziej jak szwy przecinające rzeczywistość. Taki krawiecki schiz z dodatkowymi efektami.

– Dobrze, ale było.

Moje zdumienie w jednej sekundzie pozbawione zostało granic.

Rozlało się chyba na cały budynek.

– Kiedy to są fakty! To się dzieje teraz! Ja biorę w tym udział!

Jak w jakimś matriksie...

– Co z tego, skoro było? Trzeba być oryginalnym – odpowiada rednacz, wręczając mi jedno z archiwalnych wydań, wygrzebane skądinąd.

„Tygodnik Łgarstwo”, 16 czerwiec 2010. Czyli sprzed niemal roku.

Gdzieś tak w środku mój wywiad z tajemniczym Krawcem, pacjentem Szpitala Psychiatrycznego im. Babińskiego. Nie wiem, jakim sposobem ten tekst zupełnie wyleciał mi z głowy. Pamiętam tylko tyle, że wszystko wtedy zmyśliłem, jak zawsze.

Czytam:

– *Pan uważa, że materia jest materiałem? Stąd taka ksywa?*

– *Nie żadne tam „uwazam”, tylko taka jest prawda. Zasuwamy dniami i nocami, żeby wyrobić się na czas.*

– *Zasuwanie?*

– *Jesteśmy krawcami. Są miliardy ton sukna, a my musimy je odpowiednio skroić. Żeby człowiek, skała, jeleń i jezioro czymś się od siebie różniły. Nie ma miejsca na fuszerkę. Robota ciężka, a nikt nie płaci. Nici długie i wciąż się plączą.*

– *Skoro pana zdaniem świat to jedna wielka makatka, co się z nim dzieje, jeśli się przedrze?*

– *Wtedy jest niewesoło. Czarne dziury, Trójkąt Bermudzki, UFO, duchy, ludzie znikający w biały dzień, istny Piknik Pod Wiszącą Skałą. W miejscach, gdzie pojawiają się dziury, pojawia się też jednocześnie druga rzecz: absurd.*

– *Jak można zszyć takie przedarcie? Czy któryś z was zostaje wówczas przydzielony do...*

– *W tym rzemiośle nie ma żadnych przydziałów. Myślisz, że czemu siedzę w wariatkowie?*

– *Bo jest pan psychicznie... niestabilny?*

– *Gówno prawda. Ten budynek aż trzeszczy od dziwactw i nieprawidłowości. W takich sytuacjach ktoś staje się krawcem i musi zaraz brać się za szycie. Jeśli mu nie wyjdzie, to zrobi się jedno wielkie trach i nowy kłopot gotowy.*

– *„Ktoś staje się krawcem”? Pan nie był nim od zawsze?*

– *A skąd! Wcześniej byłem klasycznym przypadkiem delirium tremens, z kapką arachnofobii...*

Szef wyrwał mi z rąk gazetę. Jego twarz poprzecinana była szwami, przypominał teraz coś a'la monstrum Frankensteina, ale był znacznie brzydszy niż Boris Karloff. Wargi i język miał postrzępione, różnokolorowe nici wystawały mu spomiędzy zębów, powiewając na wietrze wydychanym przed biurowe wiatraki. Zmiany w otoczeniu narastały ekspresowo.

– *Buldożer zjadł karafkę! – krzyczał. – Encefalogram zapodaje basy! Bit tańczy w poprzek autostrady!*

Podejrzewam, że przekroczył pewną granicę, za którą to, czy jesteś rednaczem poczytnego tygodnika, czy wiewiórką Barbarą, naprawdę nie robi ci większej różnicy.

– *Tadek, pomóż mi go obezwładnić – powiedziałem, ale kolega nie słuchał mnie, gdyż zajęty był czymś zupełnie innym. Mianowicie: zaabsorbowany był sprawdzaniem kompatybilności swojego języka i biurowego zszywacza.*

*

„W miejscach, gdzie pojawiają się dziury, pojawia się też jednocześnie druga rzecz: absurd.” – myślałem. – *Czyli nasze pismo od samego początku było jednym wielkim, rozszerzającym się przetarciem. Gigantycznym oczkiem, które chciało rozrosnąć się na cały kraj, a pewnie nawet dalej. I teraz na scenę wchodzi drugi cytat, o czcionce podejrzanie rozmytej: „W takich sytuacjach ktoś staje się krawcem i musi zaraz brać się za szycie.”*

Całkowita jasność spadła na mnie nagle jak deszcz z czystego nieba.

„Ktoś staje się krawcem”!

Szkoda tylko, że nikt tego ktosia nie szkoli, jak ma szyć, do diabła!

Szczególnie, że w tym przypadku ktosiem byłem... ja.

Zaraz potem w głowie zalśnił mi neon trzeciego i zarazem ostatniego cytatu: „Jeśli mu nie wyjdzie, to zrobi się jedno wielkie trach i nowy kłopot gotowy”.

W tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem byłoby chyba dać nogę z pokładu. Ten kraj jest już nie do odratowania. Większej fuszerki niż ta, której świadkiem byłem w ostatnich dniach, jeszcze nie widziałem. A i wcześniej nie było tu dobrze: nepotyzm, sodomia, słaba władza. Rozbiory, sejmiki szlacheckie, Jakub Szela...

I gdy myśli o ucieczce tężały mi w umyśle, nadszedł czas na to, czego najbardziej nie cierpię. A mianowicie: na niespodziankę: Całe otoczenie zaczęło się drzeć.

Ściany redakcji pękały w szwach, które właśnie ujawniły się spod warstw tynku – czarne, nieziemsko długie nici, wzbudzające w człowieku głęboki, pierwotny lęk.

Podłoga rozstępowała mi się między nogami, sufit falował jak flaga wystawiona do wiatru.

Pracownicy chcieli uciekać, ale rozpadali się na kawałki, strzępy ich ciał opadały na podłogę, niczym rozszarpane przez jakąś niewidzialną bestię ubrania.

Szef bełkotał, to nadymając się, to znowu kurcząc, jakby ktoś to pompował go, to znów spuszczał z niego powietrze: – Smutna pieśń pionowych korytarzy. Czemu klatki schodowe nie mają krat? Zagłada nadleci kluczem. W Puszcze Pandory od-kryto śladowe ilości Coca-coli. Bóg objawił się nam pod postacią piwa i pizzy. Rozgrywka zakończy się patem. Dzielenie przez zero skutkuje anarchią.

Tadek był w jeszcze gorszym stanie. Wywlekał sobie powoli z policzka jakiś bladożółty sznurek, przez co jego twarz z każdą chwilą pruć się coraz bardziej. Jeszcze parę minut, a zostanie z niego tylko pozwijana włóczka o barwie mięsa, nic więcej, o matko.

Zacząłem się drzeć.

Rzecz jasna werbalnie. Na szczęście. Jednak wina ciążyła mi niczym krzyż. Gdyż to ja byłem krawcem, który doszczętnie spieprzył zamówienie. Choć o jego istnieniu dowiedziałem się dopiero niedawno.

– Nagość poraziła postać ciężkim elektrowoltem. Na pierwszej randce obrał dziewczynę do kości. Miłość kopci nasze kapcie. La-wina snów przywaliała pomnik. Fabryka sensów poszła z dymem na spacer. Order jąder między

nogi, panowie i panie.

– Przymknij się, szefie, przymknij się wreszcie, bo naprawdę za siebie nie ręczę! – krzychałem w nieskończoność, jak zapętlona empetrója, aż do momentu, w którym z rzeczywistości nie została już ani jedna nić, a mój głos utracił nawet własne echo.

Świat rozpruł się.

Tak po prostu: rozpruł się.

Wypadłem przez dziurę w jakieś inne, obce miejsce.

Byłem sam, w ciemnościach.

Miałem ochotę wykroić sobie w czaszce otwór i wylać zawartość, o ile tam jeszcze cokolwiek było. W co wątpiłem.

Stałem w pojedynkę, pośród gęstego mroku.

Bez skrawka nadziei.

Załamany niczym koszula złożona w kancik, w zapomnianej przez wszystkich szafie.

Ja – partacz, który w makatce świata przez nieuwagę wydarł dziurę szeroką jak rana.



Kain & Kyrucz JR

„Mało kto kurde o tym wie, ale ja, jako ogólnie niezbyt lubiany na świecie Szatan, czasem też zrobię coś dobrego. No powiedzmy, że dobrego... Na przykład publikuję opowiadania grozy pod pseudonimem Dawid Kain i Kazimierz Kyrucz. Czemu nie pod własnym nazwiskiem? No żeby Tata, czyli Bóg, mi później nie gadał, że ja to jestem niepoważny, że książki piszę, zamiast przygotowywać zagładę...” – fragment wywiadu dla tygodnika Gość Niedzielny, numer 665, z 21.12.2012 r.

Lokalizacja: Piekło

Styl bizarro: dziwactwa, ale oparte wyłącznie na faktach **Publikacje:** autobiografia „Piknik w Piekle” (2004 r.), podręcznik prawa autorskiego „Horrorarium” (2006 r.), poradnik pozytywnego myślenia i zdrowego życia „Chory, chorszy, trup” (2011 r.) **Opis:** no Szatan no: rogi, kopyta, spora masa mięśniowa, 312 cm wzrostu... I kurde prawie metr we wzwodzie, a baby ni ma!

Wpływy: Allah, Bóg czyli Tata, Budda, Duch Święty, Jezus Chrystus, Hare Kriszna, Harry Potter, Dawid Kain, Kazimierz Kyrucz, Polska,

psychopatologie, psylocybina, spacery nad jeziorem siarki, uzalanie się, Zło i... Zuo.

Poza dobrem i złem

Mały Miecio miał różne pomysły, raz głupsze, raz mądrzejsze, jednak tego dnia przeszedł samego siebie. Mianowicie włożył A sobie do nosa niewielki gwóźdź. Dlaczego, w jakim celu, tego sam nie potrafił wytłumaczyć.

Co gorsza, włożył gwóźdź ostrym końcem do przodu. Co jeszcze gorsza, włożył go tak głęboko, że ani mama ani tata nie potrafili go wyjąć.

Wezwano więc na pomoc znanego z tęgiego brzucha i równie tęgiego umysłu sąsiada, pana Wacława. Pan Wacław podrapał się & po łysinie, dla zwiększenia animuszu walnął się pięścią w pierś aż po bebechach poszło echo, następnie zajrzał w jedną dziurkę nosa malca, potem w drugą, jęknął, prychnął i zmarł w dziwnej pozie na kilka wydających się wiecznością sekund. Po czym orzekł, że potrzebuje magnesu. Czym silniejszego, tym lepiej.

Jego życzenie dla rodziców Miecicia miało moc rozkazu, zwłaszcza że wizja spowodowanej czystą głupotą śmierci pierwородnego niespecjalnie im odpowiadała. Wprawdzie był on dzieckiem nieplanowanym, koszmarnym dowodem na to, że pigułki antykoncepcyjne działają jedynie w 99,8 procenta przypadków, a nie w pełnej setce, ale skoro już takie coś udało im się zbroić, urodzić i – hurraoptymistycznie założmy – wychować, szkoda by było Miecicia stracić, tracąc przy okazji ciężką kaszanę, jaką kosztuje pogrzeb w dzisiejszych czasach, a zyskując jedynie niefajny pijar.

W ekspresowym tempie przeszukali więc mieszkanie i wreszcie, w schowku na miotły, znaleźli megamocny magnes – pozostałość po elektrycznym silniku młota pneumatycznego, przy pomocy którego dziadek Miecicia próbował kiedyś przebić się na Antypody.

Sąsiad, niewiele się namyślając, skierował właściwy biegun magnesu na właściwą dziurkę nosa małego urwisa i po chwili wy-smarowany smarkami gwóźdź wyjrzał na światło dzienne. Co ciekawe, przyczepiony był do niego także złoty łańcuszek, który zginął mamie Miecicia kilka tygodni temu.

– Mówiłeś, że ten nie jest pozłacany! – krzyknęła kobieta, piorunującym spojrzeniem mierząc małżonka.

– Następny będzie, przysięgam na grób listonosza.

Awantura wisiała już na włosku, na szczęście pan Wacław w mig rozładował napięcie, opowiadając jeden ze swoich niezawodnych dowcipów: – A wiecie państwo, co ma dwie nogi i strasznie krwawi? Połówka psa na autostradzie!

Wszyscy ryknęli radosnym rechotem i momentalnie zapomnieli o tym, że świat jest okrutnym miejscem, w którym dzieci wkładają sobie do nosów gwóźdź, a mężowie kupują żonom złote łańcuszki w sieci sklepów „Wszystko za piątaka”.

Wbrew pozorom historia ta nie dotarła jeszcze do swego szczęśliwego finału. Otóż, rodzice małego Miecicia na śmierć zapomnieli, że ma on w głowie metalową płytkę – pozostałość po poprzednich nieudanych harcach. Rzeczona płytka pod wpływem przyciągania magnesu przesunęła się nieco, upośledzając funkcje umysłowe malca. Konkretniej rzecz ujmując – pozbawiła go umiejętności odróżniania dobra od zła...

*

– Wymorduję wszystkich! Poderżnę gardła i wypruję flaki!

Zwycięstwo będzie moje! – już następnego ranka wykrzykiwał Miecicio do swoich zdumionych rodziców.

– Dobrze synku, ale najpierw wyszoruj ząbki – odparła zawsze pragmatyczna mama Miecicia.

– Wyszoruję podłogę twoim śmierdzącym ścierwem! – wrzasnął Miecicio i rzucił się na swoją rodzicielkę, jednym sprytnym ciosem wbijając jej kość nosową aż do śródmózgowia.

– Mieciciu, tak nie można. Co ci mówiłem o zabijaniu z samego rana? – spytał zdumiony i zdrętwiały z przerażenia ojciec.

– Żeby tego unikać. Ale mam to w dupie! – obwieścił chłopiec, kopiąc tatkę w krocze, a następnie dusząc go kablem od telefonu, co nawiasem

mówiąc stanowi niezbity dowód na wyższość komórek nad telefonami stacjonarnymi.

Nie minął kwadrans i w mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

– Policja? Tak szybko? Niemożliwe – szepnął Miecio, otwierając z ustami wykrzywionymi w podkówkę. Był zbrodniarzem o niesamowicie krótkim stażu, nie wiedział więc, że zanim wpuści się kogoś na chatę, wypadaloby skitrac gdzieś zwłoki naszych starszych i zetrzeć mopem krwawe plamy.

W korytarzu – w całej swej grubaśnej okazałości – stał pan Waclaw.

Widząc za plecami Miecicia poniewierające się na podłodze zwłoki, uniósł ręce ku sufitowi, jakby zamierzał się poddać, po czym powiedział z uśmiechem:

– Udało się! Mój plan polegający na stworzeniu dzięki namagnesowanym płytkom armii dzieci zabójców wypalił w stu procentach! Teraz nic nie powstrzyma mnie przed przejęciem władzy nad tym chorym światem!

Radość psychopatycznego sąsiada okazała się przedwczesna.

Gdy wygłaszał swój nieco przydługi monolog, Miecio niepostrzeżenie czmychnął do kuchni, gdzie z lodówki wydobył półtoralitrową butelkę szampana. Wstrząsając nią z całych sił, szyjkę butelki wycelował w twarz pana Waclawa. Chwilę później korek wystrzelił z taką siłą, że przebił czaszkę sąsiada po linii oczodół– potylica, rozpryskując mózg ofiary na ścianie korytarza.

Tragedia była jednak obusieczna. Odrzut butelki sprawił, że Miecio poszybował przez całą długość mieszkania, roztrzaskując sobie głowę o telewizor, który w wyniku tej kolizji automatycznie przestawił się na Disney Channel. Wtedy stała się rzecz naj-gorsza: wszyscy bohaterowie byli już martwi, żaden z nich nie zdołał więc uciec przed czterogodzinnym maratonem Hannah Montana, który właśnie się rozpoczynał. Tak oto, gdy wydawałoby się, że najgorsze już za nimi, zatriumfowało prawdziwe, rozśpiewane Zło.

Cięcie!

Mary Ann; urodziwa, choć niezbyt rozgarnięta gwiazdeczka niemieckiego przemysłu filmowego, w przyływie szaleństwa A postanowiła, że najwyższa pora wyciąć sobie skórkę ze środkowego palca lewej ręki. Tak, dobrze zgadujecie, chodziło o palec pełniący kluczową funkcję przy pokazywaniu faktu. Mary mogłaby oczywiście poczekać z tą ciężką operacją do popołudniowej wizyty u kosmetyczki, ale tak bardzo jej się nudziło...

Cóż, konsekwencje nudy bywają straszliwe.

Nie mogąc oderwać oczu od superseksownych modeli, prezentujących na kanale feshyn tiwi najnowsze kreacje–prokreacje z branży bieliźniarskiej, nasza bohaterka znalazła w kosmetyczce nożyczki do manicure i już miała pozbyć się zniechęconej skórki, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Podzielność uwagi nie należała do mocnych stron Mary Ann, więc nie odkładając nożyczek sięgnęła po telefon i szybkim ruchem przyłożyła go sobie do ucha.

Usłyszała jedynie dźwięk brzmiący jak mokre „ciap”. I wtedy zapadła niepokojąco złowieszcza cisza.

Pewnie pedofil albo inny zboczek, przemknęło Mary przez głowę. Czemu akurat do mnie tacy zawsze dzwonią?!

– Spadaj, świrze! – krzyknęła na wszelki wypadek do słuchawki, po czym dodała, już nieco łagodniej. – Chyba, że to ty, wujku Sebastianie...

Nie był to jednak znany ze swej nieśmiałości wujek Sebastian, ani w ogóle żaden inny wujek czy Sebastian. Był to jeden z bardziej natarczywych ankieterów telefonicznych, jak zwykle z pakietem kretyńskich pytań.

Ale o tym Mary Ann przekonała się dopiero po przełożeniu telefonu do drugiego ucha, bowiem w tym pierwszym cały czas coś jej chlupało i parskało.

– Czy sądzi pani, że awaria w japońskiej elektrowni atomowej może mieć realny wpływ na życie ludzi w Europie?

– Nie mam.

– Proszę?

– Nie mam jak. W uchu mi teraz pada. Straszna ulewa jakaś.

– Hmm. Przejdźmy zatem do kolejnego pytania. Czy wie pani, że po poprzedniej takiej katastrofie – w Czarnobylu – na skażonych terenach przez

lata rodziły się zmutowane zwierzęta, a ludzie umierali z powodu choroby popromiennej?

– Króliki.

– Że co proszę?

– Pan tak strasznie pieprzy. Całkiem jak króliki.

Mary Ann nie chciała dłużej rozmawiać z tym dziwnym typ-kciem. Odłożyła słuchawkę tak głośno, jakby trzaskała drzwiami.

Nie, to jednak naprawdę trzasnęły drzwi.

Do mieszkania wparował zdyszany, choć seksowny, narzeczony naszej bohaterki, przedsiębiorca imieniem Helmut.

– Kochanie, coś ty najlepszego zrobiła?! – krzyknął przerażony, widząc, że z ucha jego ukochanej gęstą strugą cieknie na podłogę krew, wzbogacona w szarawe strzępy czegoś, co mogło być mózgiem, choć nie musiało.

– Chciałam pozbyć się skórki... – odparła Mary Ann. – Ale zadzwonił jakiś królik, w sprawie życia w Europie.

– Cięcie! – krzyknął ktoś w tle.

– Więc to był tylko film? – spytała Mary Ann, z ulgą trzepocząc rzęsami. – Wcale nie byłam tak głupia, żeby wbić sobie nożyczki w ucho? Grałam, tak?

– Cholera, to miało być porno, a nie horror – odparł Helmut, skanując wzrokiem sufit, jakby w obawie, że lada chwila trzęsienie ziemi sprawi, że zwałą się na nich tony betonu i metalowych elementów zbrojenia.

A potem zdjął sobie głowę z karku – oderwała się od szyi z głośnym „chrup” – i cisnął ją w kąt. Pod ludzkim przebraniem ukrywał oblicze królika. Mały mokry nosek drżał nerwowo, wąsiki podskakiwały.

– Nigdy już nie zgodzę się grać człowieka! – powiedział, strzygąc wielkimi uszami. – To poniżające.

– Mutacje, promieniowanie, śmierć – jęknęła kompletnie bez związku Mary Ann.

Nie wiedziała już, kim jest, ale strasznie zachciało jej się sałaty.

Koniecznien, teraz. Pokicała do kuchni, tam jednak była jedynie wielka dziura w ścianie, za którą rozpościerał się krajobraz zniszczony jak po atomowej eksplozji.

– Cięcie! – krzyknął ktoś i nagle wszystko w zasięgu wzroku zniknęło, zanim Mary Ann zdążyła pomyśleć, że gdzieś ma nożyczki, ankiety i plany zdjęciowe, skoro jest tak przeraźliwie głodna.

Spis treści

BARTOSZ CZARTORYSKI:

1. [Oto dom, bim bam bom](#).....
2. [Wiedźma](#).....

ALEKSANDRA ZIELIŃSKA:

3. [Ojczenasz, któryś jest w niebie](#).....

ADRIAN MIŚTAK:

4. [Zjedz mnie!](#).....

RAFAŁ KULETA:

5. [Wciśnięci w siebie](#).....
6. [Wyciśnięci](#).....

KRZYSZTOF MACIEJEWSKI:

7. [Śmierząca inwazja](#).....

8. [Rycerz marnotrawny](#).....
9. [Rycerz z wytrąconym mieczem](#).....
10. [Gliniany rycerz](#).....

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI:

11. [Wielki Grzybiarz](#).....
12. [Przesiadka](#).....
13. [Odbicia](#).....

KAZIMIERZ KYRCZ JR:

14. [Zmazy i zarazy](#).....
15. [Zakochani w końcu](#).....
16. [Lodowa epopeja Basi](#).....

DAWID KAIN:

17. [Źródło snów](#).....
18. [Krawiec](#).....

KAZIMIERZ KYRCZ JR & DAWID KAIN:

19.

[Poza dobrem i złem](#).....

20.

[Cięcie!](#).....

ANTOLOGIA OPowiadań

BIZARRO dla początkujących